płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—28 · II · 1986 | 4

Fot. Stefan Rutkowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Nigdzie się tak nie czuje przyciągania ziemskiego jak na ślizgawce!

— Nie śmiej się tak głupio, tylko mi pomóż!

Ofiara ślizgawki

A TO CIEKAWE!

JEDYNYM producentem aluminium w Polsce jest huta w Koninie-Malińcu. Największym zakładem wyrabiającym materiały ścierne jest fabryka w Kole, a najwięcej soli kamiennej pochodzi z kopalni w Kłodawie.

●

NAZWA miasta Turek w woj. konińskim pochodzi od dzikiego tura, zamieszkującego niegdyś nadwarciańskie puszcze i nie ma nic wspólnego z Turkami, którzy napadali na Polskę.

●

POTĘŻNE maszyny — koparki i zwałowarki — pracujące w konińskich odkrywkach węgla brunatnego, przypominają prehistoryczne gady. Ciężar tych poruszających się na gąsienicach gigantów waha się od 1900 do 2400 ton.

●

JEZIORA koło Konina zarybiono ciepłolubnymi rybami azjatyckimi, żyją tam obecnie amur biały i tołpyga. Odżywiają się roślinami wodnymi, które szybko rosną w wodzie podgrzewanej przez elektrownie, spełniają ważną rolę, bo nie dopuszczają do zarastania jezior.

POKŁADY węgla brunatnego w rejonie Konina odkrył we wsi Ochle w 1883 r. inż. Ryszard Lindeman. Poważniejszych badań zasobów węgla dokonał prof. Arnold Makowski w 1925 r. W oparciu o jego badania, w 1941 r. powstała tam pierwsza kopalnia. Obecnie z 4 odkrywek wydobywa się rocznie ok. 12 milionów ton węgla, spalanego w miejscowych elektrowniach.

●

NAJSTARSZYM ZNAKIEM drogowym w naszym kraju jest kamienny słup, który stoi w Koninie. Na cylindrycznej jego powierzchni wyryto napis po łacinie oznaczający połowę drogi na bursztynowym szlaku między Kaliszem i Kruszwicą. Wykonany z piaskowca w 1151 r., mierzy 2,5 m, stoi na placu przy kościele.

●

LIGNITY to nazwa całych pni drzewnych nie zwęglonych do końca, znajdywanych w pokładach węgla brunatnego. Są to sekwoje, cyprysy lub inne drzewa rosnące 12 milionów lat temu w ciepłym klimacie, które, zwalone w wodę, z biegiem czasu i pod wpływem ciśnienia zmieniły się w węgiel.

Nasza okładka:

Jak powstają piękne, kolorowe naczynia, przeczytajcie na str. 24—25

NARODZINY

Urodził się poeta,
cieszy się poezja.
— Wiesz, mamusiu,
jak będę duży, kupię ci
różowego konika.

— Synku, nie ma przecież
różowych koników.
— To kupię niebieskiego,
niebieskie są na pewno.

Janusz J. Gulczyński

Rys. Przemysław Woźniak

DWA DNI W KONINIE

Zamknęliśmy redakcję „na kłódkę" i wczesnym rankiem 15 października ruszyliśmy na spotkanie z Ziemią Konińską.

— Cóż można zobaczyć w ciągu dwóch dni?

Najwyżej dwie, trzy miejscowości. Red. Elżbieta Brzoza pojechała do Fabryki Jedwabiu w Turku. Do Zakładu Wyrobów Ceramicznych w Kole udała się red. Maria Czernik wraz ze Stefanem Rutkowskim — naszym fotoreporterem. Natomiast redaktor graficzny „Płomyczka" Zdzisław Byczek i ja zakotwiczyliśmy się w Koninie. A razem z nami został **Romuald Karaś** — znany pisarz reportażysta (który już o dzień wcześniej zawitał do Konina).

Chcieliśmy jak najgłębiej zrozumieć, poznać to wielkoprzemysłowe miasto. W rysunkach i fotografiach odnajdziecie atmosferę Konina.

Ja poznałem tu wielu sympatycznych Czytelników naszego pisma. Zaprzyjaźniłem się m. in. z **Krzysiem Pilarczykiem** w Woj. Szpitalu Zespolonym. Przyszło potem wiele listów do redakcji od uczniów konińskich szkół — Nr 4 i 7. Złożyły się one na materiał pt. „My i nasze miasto Konin".

A pan Romuald Karaś w jednym z najbliższych numerów — reportażem **Tomka Wolnego,** ucznia klasy V Szkoły Podstawowej Nr 7 w Koninie — otworzy w „Płomyczku" Kącik Młodego Reportera.

* * *

Oczywiście i w tym numerze nie może zabraknąć sławnych ludzi Ziemi Konińskiej: ani **Zofii Urbanowskiej,** niesłusznie zapomnianej pisarki-pozytywistki, ani **Apolinarego Szeluto,** kompozytora, który skomponował suitę do „Pana Tadeusza", ani **Mieczysława Bekkera,** konstruktora pojazdu księżycowego.

Muszą również znaleźć się nazwiska tych ludzi, którzy nam bardzo wiele pomogli. A więc wymieniam: przede

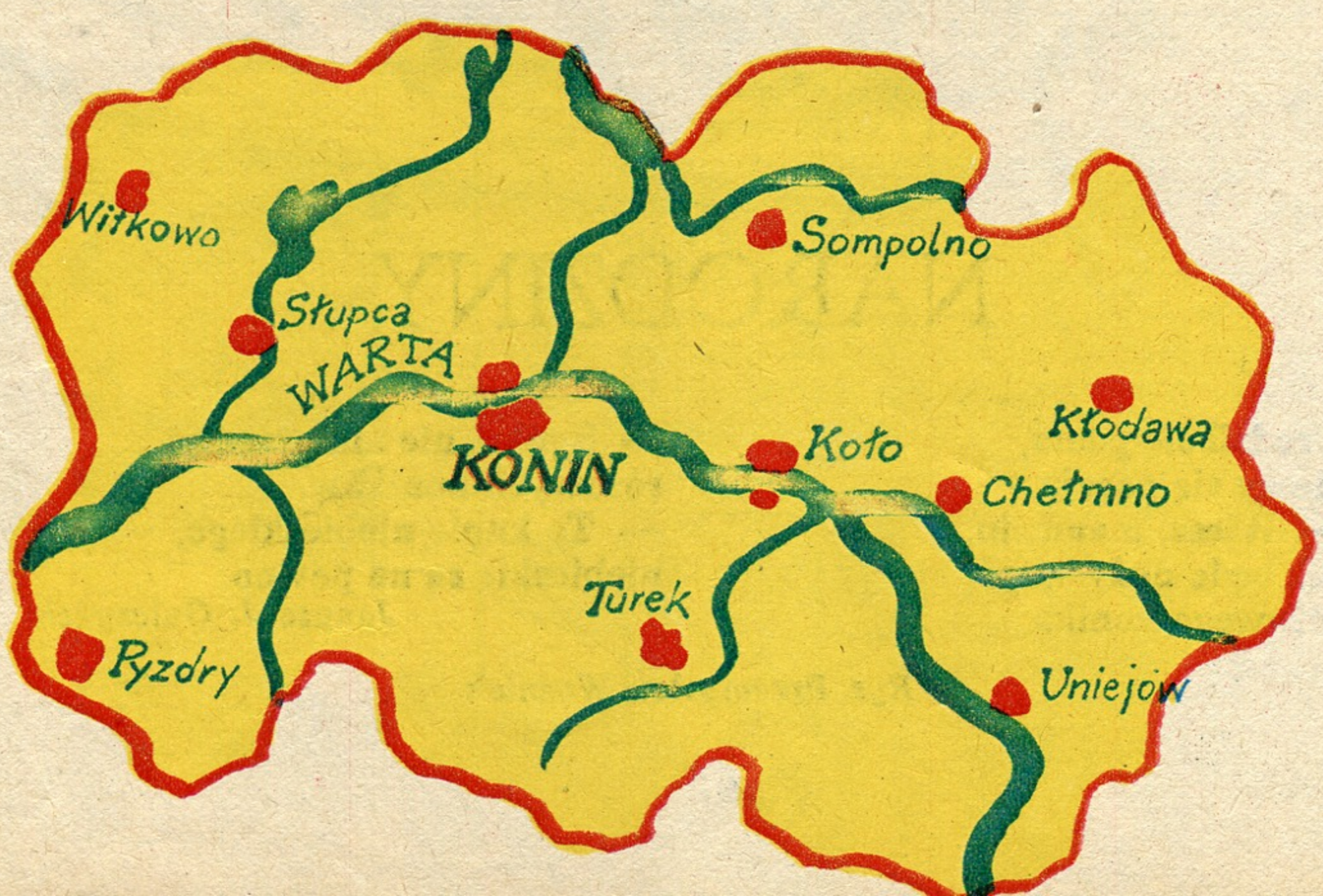

wszystkim **Lecha Hejmana** — wicedyrektora Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, który namówił nas do przyjazdu, a następnie panią **Danutę Mejer** — kierowniczkę Filii Woj. Biblioteki przy ul. 22 Lipca i nauczyciela Szkoły Podstawowej Nr 6, pana **Marka Góralczyka.**

Zaledwie dotknęliśmy niektórych spraw. Zaledwie wpominamy paru słowami o Kopalni Soli w Kłodawie i Hucie Aluminium w Koninie. Wywozimy stąd tylko jeden wiersz (Janusza Gulczyńskiego). Nie przytoczyliśmy ani jednej miejscowej legendy. A wszystko to dlatego, że „Płomyczek" nie ma 50 stronic, tylko 32.

Tadeusz Chudy

Konin leży nad środkową Wartą przy linii kolejowej i drodze szybkiego ruchu Warszawa — Poznań.

Prawa miejskie otrzymał już w XIII wieku. Był wtedy liczącym się ośrodkiem rzemieślniczo-handlowym. W ostatnich latach stał się centrum Konińskiego Zagłębia Węgla Brunatnego, a od 1975 r. stolicą województwa. W liczącym ok. 80 tys. mieszkańców Koninie prócz kopalni (składającej się z czterech odkrywek) znajdują się: Huta Aluminium „Konin", Konińskie Zakłady Naprawcze Przemysłu Węgla Brunatnego, dwie elektrownie cieplne: „Konin" i „Pątnów" oraz szereg zakładów przemysłu spożywczego.

Ratusz w Koninie.

Rys. Zdzisław Byczek

ZOFIA URBANOWSKA

Z Ziemią Konińską związana jest niezwykła postać skromnej kobiety — Zofii Urbanowskiej — autorki książek dla dzieci i młodzieży.

Urodziła się 15 maja 1849 r. we wsi Kowalewek pod Koninem. Córka zubożałego szlachcica, bardzo wcześnie, od 1870 r., związała się z „Gazetą Polską" i na jej łamach zamieszczała „Korespondencje znad Warty". Przez 40 lat mieszkała w Warszawie u państwa Sikorskich, w kamienicy, w której mieścił się salon Deotymy — autorki „Panienki z okienka". Przyjaźń z przełożoną pensji, częste kontakty z młodzieżą, spotkania i rozmowy z wykładowcami pensji i bywalcami salonu Deotymy zrodziły w jej umyśle potrzebę pisania książek dla młodych czytelników.

Rozpoczął się bardzo aktywny okres w jej życiu. Na łamach czasopisma dla dzieci „Wieczory Rodzinne" zamieszczała pogadanki przyrodnicze, felietony z Tatr i Zakopanego, oraz drukowała w odcinkach utwór „Z Wyspy Atlanty". („Atlanta" wydana została w roku 1893 jako samodzielna powieść fantastyczna).

Pierwszymi utworami wydanymi w formie książkowej były: nowela „Znakomitość" i powieść „Cudzoziemiec" drukowane w 1883 r. W obu bohaterkami są młode kobiety, kochające i kochane. Największe zainteresowanie czytelników wzbudziła opowieść fantastyczno-przyrodnicza „Gucio zaczarowany" (1884). Książka miała 8 wydań, została też przetłumaczona na języki: francuski i czeski. Przygody chłopca, za lenistwo zamienionego w muchę, napisane są językiem prostym, obrazowym. O tej książeczce wspomina Jarosław Iwaszkiewicz, jako o pierwszej, która towarzyszyła jego dzieciństwu.

Dorastające panienki fascynowały się losem Helenki Oreckiej, bohaterki powieści „Księżniczka". Powieść, nagrodzona w roku 1882 w konkursie ogłoszonym przez „Tygodnik Ilustrowany" — wydana została po raz pierwszy w 1886 roku. Książka była tłumaczona na języki: włoski, czeski, niemiecki i rosyjski. Losy Helenki przypominają życie samej autorki, jedynaczki, która widząc ruinę majątkową rodziców opuszcza dworek, wyjeżdża do stolicy i podejmuje pracę zarobkową. Z „księżniczki" zmienia się w zaradną kobietę.

W 1903 r. ukazała się „Róża bez kolców". Jest to opowieść o przyrodzie tatrzańskiej, o obyczajach i historii Tatr oraz o ludziach związanych z tym zakątkiem Polski. Książkę ożywia sensacyjny wątek przeżyć wynarodowionego Polaka — angielskiego barona, oczarowanego pięknem Tatr.

Ostatnia książka Urbanowskiej — „Złoty pierścień", powstała w Koninie, w 1916 r. (Autorka wróciła do Konina w 1910 roku). Utwór napisany jest zręcznie, ale zbyt moralizatorsko. Urbanowska była jedną z najbardziej popularnych autorek książek dla młodzieży na przełomie XIX i XX wieku. Jej utwory zawierały wezwania do pracy, uczyły miłości bliźniego, popierały rozwój wiedzy, przypominały o polskości

Dworek Zofii Urbanowskiej

narodu, były ilustracją haseł pozytywistycznych.

Zofia Urbanowska zmarła w Koninie 1 stycznia 1939 r. mając blisko 90 lat. Doczekała się uznania, otrzymała Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury, Krzyż Oficerski „Polonia Restituta". Ulicę, przy której stoi do dzisiaj jej dworek, nazwano imieniem pisarki. Otrzymała też honorowe obywatelstwo miasta Konina. Nieliczne pamiątki po zmarłej zachowane są w muzeum, inne materiały posiada Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Szkoła Podstawowa nr 1, nosząca Jej imię.

Lech Hejman

„Księżniczka" — to najlepsza i najpoczytniejsza w owych czasach „powieść dla dorastających panienek". I jeśli dzisiejszym czytelniczkom książka ta wyda się bardzo staroświecka, a w niektórych momentach może nawet nieco śmieszna, choć pisana jest przecież z pełną godności powagą, będzie to najlepszym dowodem, jak bardzo w ciągu tych trzech pokoleń zmieniły się warunki życia, obyczaje i — same dziewczęta. Lektura „Księżniczki" pozwala nam dzisiaj uświadomić sobie te przemiany i zrozumieć, jak wielkiego trzeba było wysiłku, by postawić pierwszy krok na drodze usamodzielnienia kobiety. (...)

Urbanowska napisała swą powieść dla takich dziewcząt, z jakimi stykała się na co dzień, pragnęła w nie wpoić ideę emancypacji, usamodzielnienia kobiety, wskazując im drogę realizacji tej idei w oparciu o głębokie przeżycia i trudne doświadczenia. Dalsze lata życia Zofii Urbanowskiej są dowodem, że umiłowanie pracy i obranego zawodu może w pewnych wypadkach kobiecie wystarczyć, zastąpić rodzinę i dom. Urbanowska, osoba niezwykłej urody, inteligentna, samodzielna i pełna zalet charakteru, wybrała życie samotne, poświęcając się pracy literackiej i wychowawczej. (...)

Dziś pamiętamy o Urbanowskiej przede wszystkim jako o autorce „Księżniczki", książki, która pomagała dziewczętom sprzed trzech pokoleń stawiać pierwsze kroki na drodze uzyskania samodzielności. Czy dzisiejsze czytelniczki sięgną po nią po to tylko, by ujrzeć w sposób o wiele bardziej plastyczny, niż może to uczynić jakikolwiek podręcznik historii czy literatury, obyczaje dawno minionych czasów, pozytywistyczne boje o gospodarcze odrodzenie kraju, oświatę dla ludu, emancypację kobiet? Na pewno i po to także, ale znajdą tu jeszcze chyba coś więcej. W przeżyciach Helenki, jak w każdej zresztą postaci literackiej przemyślanej przez pisarza i przeżytej, można odnaleźć pewne problemy trwalsze, wykraczające poza epokę, w której się zrodziły.

Krystyna Kuliczkowska

HELENKA*

Pierwszym przedmiotem, jaki Helenka powracająca do domu zobaczyła, była stojąca na dziedzińcu bryczka, zaprzężona pocztowymi końmi. Pomyślała sobie, że pewnie ojciec powrócił od Dońskiego, ale mimo to ogarnęło ją jakieś niedobre przeczucie. W sypialnym pokoju zastała oboje rodziców. Ojciec, nie rozebrany z płaszcza podróżnego, siedział na krześle, z twarzą znękaną, a matka stała przy nim zapłakana.

— Wystaw sobie, Helciu — rzekła do córki po przywitaniu — że ojciec jeździł do Dońskiego upominać się o te pięćset rubli, co to wiesz. Doński miał gości u siebie, siedzieli przy stolikach i grali w karty. Otóż gdy ojciec przyjechał i powiedział mu po co, ten wziął ojca na bok i z najlepszą miną powiada: „Zminęliśmy się widać z sobą w drodze, kochany panie Marcinie; ja właśnie jeździłem do miasta, żeby panu oddać te pieniądze, ale, nie zastawszy pana w domu, oddałem je żonie pańskiej. Siedziała właśnie w ogrodzie i siała jakieś kwiatki". Tak ojciec się go pyta: „A jakże się panu ogród podobał, ładny?" „A ładny, bardzo ładny". Ojciec przyjeżdża i mówi mi to, a ja ani Dońskiego, ani żadnych pieniędzy nie widziałam, ani nawet w ogrodzie dziś nie byłam. Jezus Maria, myślę sobie, może on się widział z kim innym i komu innemu zamiast mnie oddał, chociaż to nie powinno się było zdarzyć, bo mnie zna przecież dobrze. Więc mówię do ojca: „Na miłość Boską, Marcinie, wracaj natychmiast do Dońskiego i dowiedz się, co się stało z pieniędzmi!" Ojciec też tak zrobił, pojechał i zastał jeszcze tych samych gości przy kartach. Doński, jak tylko ojca powracającego zobaczył, tak wstał

---

* *Tytuł od redakcji*

zaraz i wyszedł naprzeciw niego do sieni. Ale opowiadaj ty sam, Marcinie!

— Wyszedł naprzeciw mnie trochę zmieszany, zaczął mnie ściskać za ręce i przepraszać, mówiąc: „Wybacz, kochany panie Marcinie! Nie miałem pieniędzy, a nie wiedziałem już, jak się panu wytłumaczyć, więc tak tylko powiedziałem... Wybacz mi, pan, wybacz! Nie przypuszczałem, że się będziesz drugi raz fatygował!"

Helenka słuchała tego opowiadania z zaciśniętymi ustami: pierś jej wrzała gniewem i oburzeniem.

— Zakpił sobie z ojca — mówiła z uniesieniem pani Orecka — nie tylko że nie oddał pieniędzy, ale ośmieszył go i jeszcze

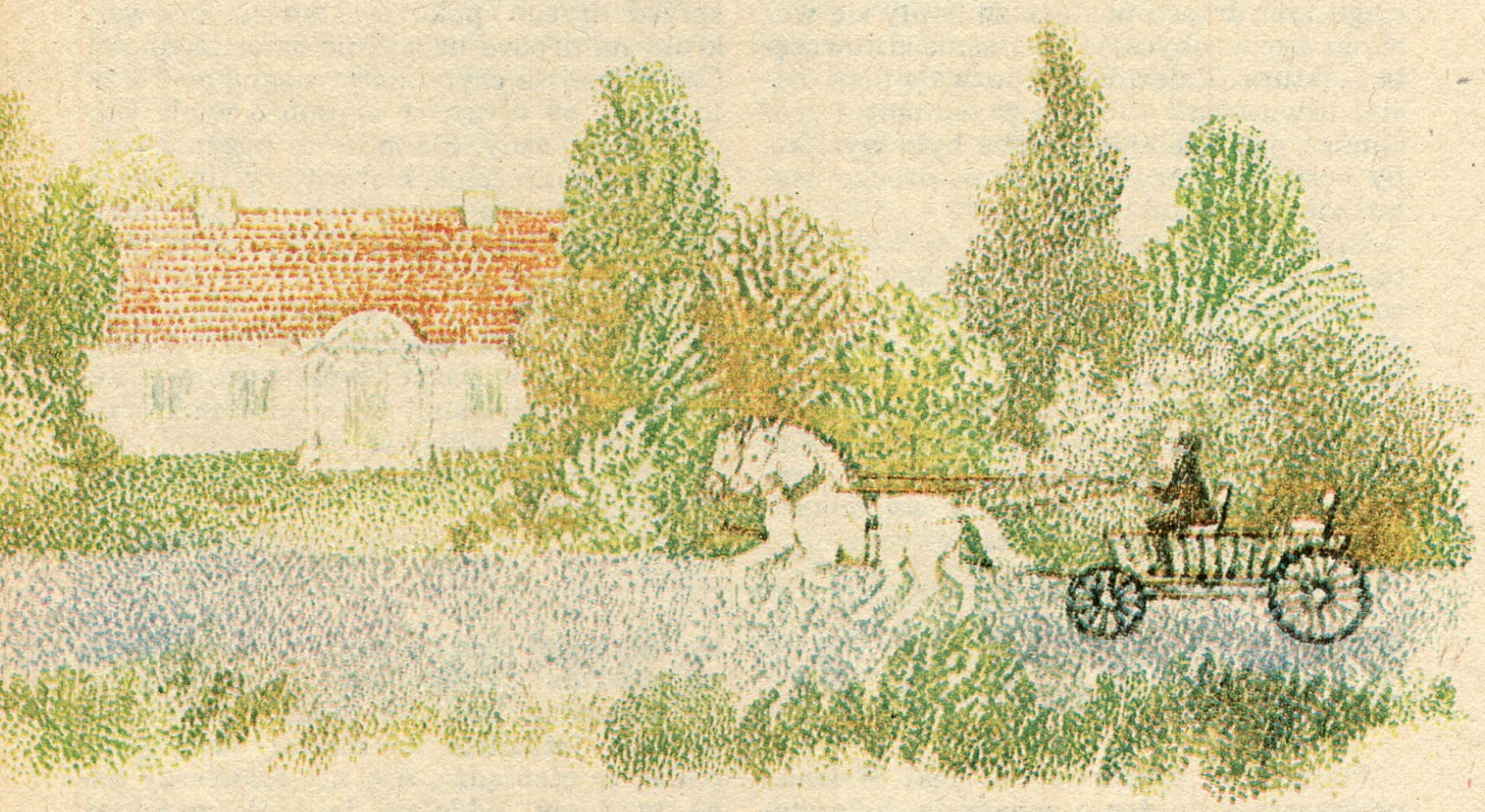

miał czoło prosić ojca, żeby został u niego na kolacji. A łotr!

Pan Marcin siedział zgnębiony i przybity; biedna jego siwa głowa pochylona była nisko na piersi. Helenka objęła po macierzyńsku tę skołataną głowę, która tak bolesne zniosła upokorzenie, i ucałowała gorąco.

— Czy daleko do Maciejowa? — spytała po chwili.

— Będzie z półtorej mili.

* * *

Dobrze się bawiono we dworze pana Dońskiego. Przy kolacji rozmowa była bardzo ożywiona: anegdoty, myśliwskie opowiadania i dowcipy krzyżowały się ponad stołem, przerywane toastami. Czasem tylko jak ostry dysonans w tym chórze dawały się słyszeć narzekania na spadające ciągle ceny zboża, na brak gotówki i trudności w uzyskaniu kredytu. Goście składali się z samych mężczyzn różnego wieku; byli tam starzy i młodzi, a wszyscy amatorzy gry. Na pierwszym miejscu siedział pan sędzia Milewicz, człowiek zacny, rozumny, dobry obywatel i mający wielki mir u ludzi. Jeżeli gdzie były jakie spory, on je zawsze rozstrzygał; jeżeli chodziło o radę, on ją dawał; jeżeli o pomoc pieniężną, on jej nie skąpił. Jego nawet pan naczelnik Sokołow, pomiatający wszystkimi, cenił i poważał, chociaż sędzia Milewicz nie wahał się nigdy wypowiedzieć mu swego zdania, ilekroć uważał to za potrzebne. Kochano go, szanowano, bano się nawet trochę i chętnie przebywano z nim w towarzystwie, bo towarzyski był bardzo, a w preferansa grywał chętnie, w braku innej rozrywki. On to najwięcej wywoływał dysonansów przy stole swymi uwagami o położeniu kraju i potrzebie dokonania zupełnego przewrotu w gospodarstwie wiejskim. (...)

Wszyscy tak byli grą zajęci, że nikt nie słyszał bryczki zajeżdżającej na dziedziniec i nikt nie spostrzegł, że drobna, wątła

postać dziewczęca stała w progu. Gdy śmiech obecnych ucichł, zabrzmiał w salonie głos czysty, dźwięczny i pełen jakiejś uroczystej powagi.

— Który z panów jest gospodarzem tego domu?

Goście zwrócili oczy ku drzwiom, gdzie stała panna Orecka w swej skromnej, ciemnej sukience, a niespodziane jej zjawienie się, jej szlachetna i pełna godności postawa wprawiła ich w zdziwienie. Wszyscy powstali.

— Który z panów jest gospodarzem? — spytała powtórnie, spoglądając kolejno po obecnych.

Wtem zadrżała i serce jej uderzyło szaloną radością; zobaczyła Stefana! Nie była już sama teraz, miała obrońcę, który niezawodnie stanie przy niej i poprze jej sprawę. Spojrzenia ich skrzyżowały się, ale Helenka nie znalazła w oczach młodzieńca tego, czego szukała; wyrażały zdziwienie i zakłopotanie wobec tego niespodziewanego spotkania i nic więcej... Stefan nie biegł jej witać, nie pytał, po co tu przyszła sama jedna... Na ustach dziewczęcia osiadł pogardliwy uśmiech. Wiedziała już, że nie może na niego rachować, a ból, jakiego doznała, zamiast odebrać jej siły, dodał ich tylko jeszcze. Chciała mu pokazać, że się potrafi obejść bez niego.

— Chcę mówić z panem Dońskim — powtórzyła raz jeszcze.

Gospodarz postąpił ku niej i złożył jej ukłon głęboki.

— To pan? — spytała mierząc go od stóp do głowy.

Doński skłonił się powtórnie.

— Jestem Doński, do usług. Czy mogę zapytać, z kim mam przyjemność, czym mogę pani służyć?

— Jestem córką Marcina Oreckiego — powiedziała nie spuszczając zeń wzroku.

Doński się zmieszał.

— Niech pani raczy przejść do mego gabinetu — rzekł głosem zniżonym i wskazał jej drzwi boczne — tam będzie można porozmawiać swobodnie. Tu tyle osób i... i dymu.

— To, co mamy z sobą do mówienia, nie potrzebuje być żadną tajemnicą — odrzekła zimno Helenka — przeciwnie, pragnę, żeby rozmowa nasza miała jak najwięcej świadków.

Doński okazał jeszcze większe pomieszanie; chciał coś przemówić, ale Helenka uprzedziła go:

— Wyrządziłeś pan ciężką zniewagę memu ojcu!...

— Co się stało? O co idzie? — pytano spoglądając po sobie.

— Panowie nie wiedzą, co się stało? Oto ten pan pożyczył przed dwoma laty od mego ojca pięćset rubli na słowo i ilekroć żądano od niego zwrotu, nigdy nie miał pieniędzy przy sobie, ale obiecywał oddać wkrótce pod słowem honoru.

Ostatnie dwa słowa wymówiła z przyciskiem.

— Przed kilku godzinami ojciec mój, znaglony gwałtowną potrzebą, przybył tu, żądając stanowczo zwrotu i otrzymał odpowiedź, że pan Doński tylko co wrócił z miasta i że wręczył pieniądze mojej matce. Gdy ojciec powrócił do domu, okazało się, że nic podobnego nie było; więc gnany najwyższym niepokojem przyjechał powtórnie tutaj, pytając, co się stało z pieniędzmi, bo matka ich wcale nie widziała. Wówczas ten pan — dodała wskazując ręką — przyznał się, że tylko żartował... bo nic innego naprędce wymyślić nie mógł, a dla złagodzenia przykrości prosił ojca, żeby został u niego na kolacji.

Szmer oburzenia rozszedł się między obecnymi.

Wszyscy widzieli dwukrotnie przybywającego pana Oreckiego i rozmawiającego z gospodarzem na stronie, choć nie wiedzieli, o co idzie. Nie mogli więc wątpić, że córka jego mówi prawdę.

— Mój ojciec jest chory i ma lat sześćdziesiąt — mówiła dalej Helenka, — pan Doński nie umie uszanować jego wieku; nie wstydził się dla swej fantazji narażać znękanego starca na powtórną podróż i dla dopełnienia zniewagi dodał jeszcze szyderstwo... Jak zdaniem panów powinien być nazwany żart taki?

— Niegodnym! — odezwało się kilka głosów.

— Przybyłam właśnie, żeby mu to powiedzieć... Pan Doński przegraną w karty płaci zaraz i nazywa to długiem honorowym, ale gdy trzeba oddać pieniądze pożyczone od ubogiego człowieka, honor jego jest nieobecny!

Szlachetna odwaga dziewczęcia, oburzenie i boleść, dźwięczące w jej głosie, ujęły serca słuchaczy. Wszyscy wzięli gorąco stronę jej ojca.

— Panie Doński — przemówił surowo sędzia — splamiłeś stan szlachecki, żaden też szlachcic nie poda ci ręki, dopóki nie naprawisz złego, któreś wyrządził. Postępek twój ubliża nam wszystkim, którzy żyjemy z tobą i przyjmujemy cię w naszych domach; toteż nie ustąpimy, dopóki nie

złożysz kwoty, którąś winien, na ręce panny Oreckiej. Prawda, panowie?

— Tak jest — powtórzyli wszyscy — niech Doński złoży te pieniądze. Musi je złożyć!

Doński stał czerwony z gniewu, zawstydzony i zły.

— Jak mi Bóg miły! — wykrztusił kładąc rękę na piersi — tak nie mam pięciuset rubli w domu.

— A więc my zapłacimy za ciebie, a ty będziesz naszym dłużnikiem i wystawisz nam rewers. Panowie, musimy złożyć te pieniądze. Co kto ma, niech składa w moje ręce.

W jednej chwili zrobił się ścisk dokoła sędziego. Pieniądze się posypały i zebrała się ich spora suma, większa nawet, niż było potrzeba. Sędziwy inicjator tej myśli przeliczył je, odsunął resztę i wziąwszy pięćset rubli, chciał je wręczyć Halence.

— Nie — rzekła usuwając rękę. — Pan Doński daremnie fatygował mego ojca, niech się teraz pofatyguje do niego i przeprosi go za żart niestosowny. Żądam tego!

— Masz, pani, słuszność — rzekł sędzia spoglądając na nią z podziwem. — Panie Doński, każ pan zaprzęgać, musisz przeprosić pana Oreckiego. Jedziemy wszyscy z panem.

Projekt ten przyjęty został z ogólnym uznaniem, a Helenka w gorących słowach dziękowała sędziemu.

— Nie dziękuj, pani — powiedział wzruszony — swojej to szlachetnej odwadze zawdzięczasz to, co się stało. Niech przy tej sposobności wolno mi będzie prosić o zaszczyt przedstawienia się kobiecie, która tak dzielnie broni honoru i praw swego ojca. Jestem Milewicz z Pokorzyna.

I zacny starzec pochylił nisko przed dziewczęciem swoją siwą głowę.

Zofia Urbanowska
Fragment powieści pt. „Księżniczka"

Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

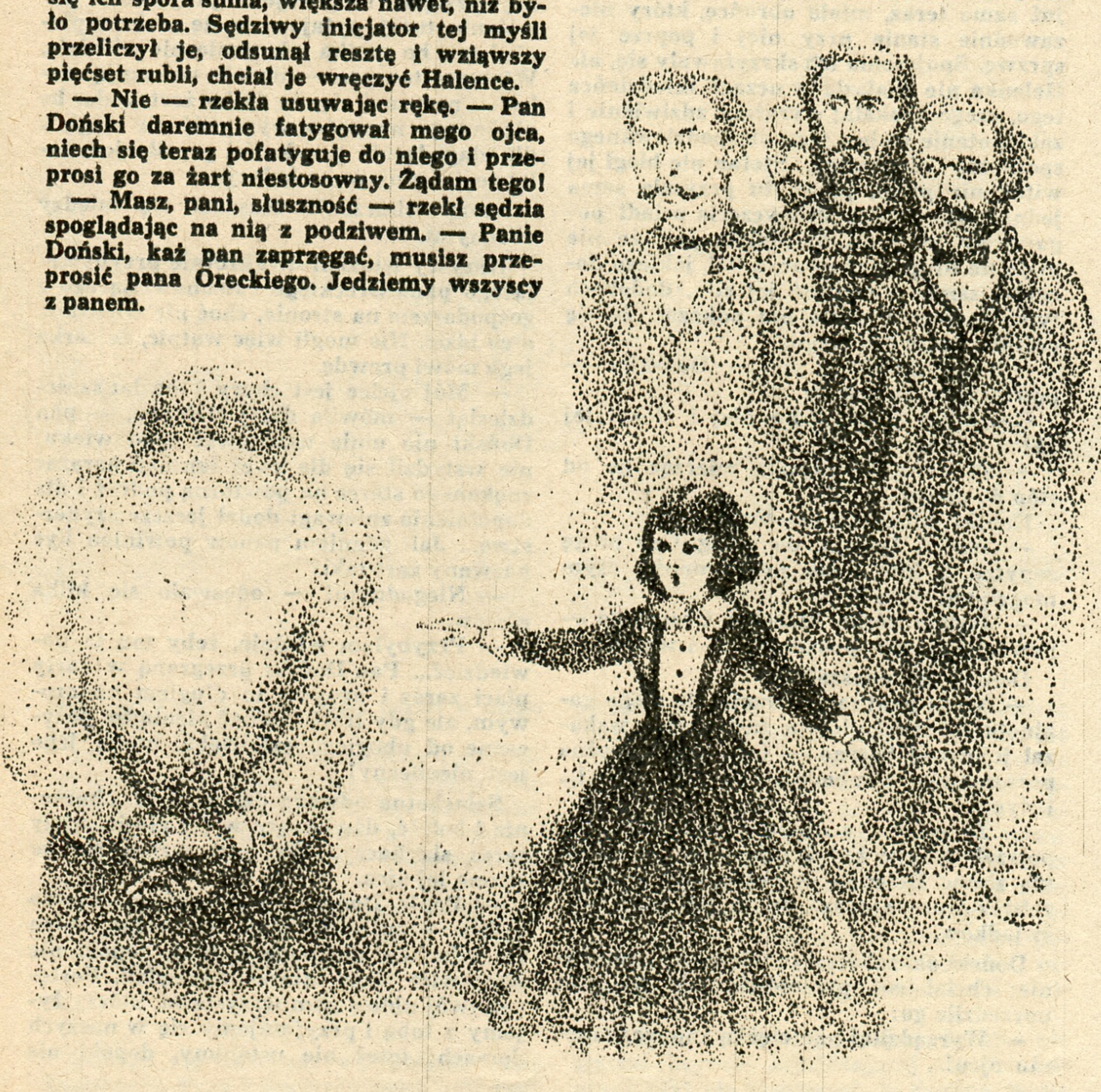

Na zimowisko wyjechaliśmy w góry. Zamieszkaliśmy na wsi w ładnej szkole. Było tutaj pięknie, miło i ciekawie, więc nic dziwnego, że czas mijał szybko.

Z naszej klasy zgłosili się na tę zimową wyprawę: Wojtek, Jurek, Waldek i ja oraz kilka dziewczynek, a wśród nich Kryśka i Jadźka. Trzeba przyznać, że z początku narzekaliśmy na obecność koleżanek, ale potem zmieniliśmy zdanie...

Pierwszego dnia poszliśmy na spacer, aby poznać okolicę. W pewnej chwili nasz grubas, Wojtek, nabrał w rękawicę śniegu i zawołał:

Lody, lody
dla ochłody!
Komu, komu?
Bo idę do domu...

— Chyba zwariowałeś? — powiedziała Kryśka. — Kto by jadł taką zimnicę? Wyrzuć to...

Ale Wojtek roześmiał się, połknął porządną porcję śniegu i w tym momencie Kryśka wytrąciła mu z ręki resztę „smakołyku".

— Co to ma znaczyć? — zapytał groźnie Wojtek. — Chcesz oberwać?

— Tylko spróbuj mnie dotknąć... — roześmiała się nasza koleżanka i dodała: — Przypominam ci, że twoja mama prosiła mnie, abym uważała na ciebie, a ja zawsze dotrzymuję słowa...

— Na zimowisku też?

— Też...

— Ty, ty szpiegu!... — wykrztusił oburzony grubas, ale Kryśka nie przejęła się tym, chociaż Wojtek spojrzał na nią złowrogo. Już wieczorem przekonaliśmy się, że nasza koleżanka miała rację, bo Wojtek powiedział nam „dobranoc" zachrypniętym głosem... Pan Rosiński zauważył to i natychmiast dał mu do połknięcia aspirynę.

— Dobrze, że nie zjadłeś więcej śniegu — powiedział Jurek — bo inaczej rozmawialibyśmy na migi...

Wojtek nie odpowiedział, tylko okrył się kołdrą. Po chwili jednak usiadł na łóżku i odezwał się ponurym głosem:

— Zobaczycie, jak się zemszczę na tej piegusce!

I zasnął na dobre.

Następnego dnia pan Rosiński miał z nami lekcję jazdy na nartach. Byliśmy trochę zawiedzeni, bo spodziewaliśmy się, że nasz gimnastyk zaprowadzi nas od razu na skocznię albo na szczyt góry i zachęci do błyskawicznego slalomu między świerkami. Tymczasem staliśmy przed nim i musieliśmy uczyć się chodzenia na nartach, skręcania w bok i odpychania kijkami.

— To dziecinada... — mruknął niezadowolony Wojtek i zerknął pobłażliwie na Kryśkę, która wraz z koleżankami wykonywała z zapałem ćwiczenia. — Takie proste rzeczy są niepotrzebne...

A jednak okazało się inaczej. W czasie przerwy właśnie wysapywaliśmy zmęczenie, gdy usłyszeliśmy okrzyk:

— Patrzcie! Tak zjeżdża mistrz...

Odwróciliśmy się i na pobliskiej górce zobaczyliśmy Wojtka, który stał pochylony na nartach.

— Daj spokój! — zawołała Kryśka. — Przecież ty nie umiesz...

W tej samej chwili Wojtek zachwiał się, zostawił kijki wbite w śnieg i zaczął zjeżdżać w dół wymachując rozpaczliwie rękami. Patrzyliśmy przestraszeni na grubasa, który nabierał szybkości i teraz sunął w naszą stronę ze skrzyżowanymi nartami. W połowie górki w jakiś sposób zmienił kierunek jazdy, w końcu zgubił „deseczki" i zaczął toczyć się pod nasze nogi. Wreszcie przed nami zatrzymała się duża, śnieżna kula, w której środku znajdował się „mistrz" sportu...

Wstał zaczerwieniony i długą chwilę sapał po niezwykłej podróży. Kryśka westchnęła i zapytała:

— Musiałeś się tak wygłupiać? To mogło się skończyć inaczej... I spodni też szkoda.

— Pewnie — dodał Jurek. — Bałwan z ciebie i już...

Rzeczywiście, Wojtek, oblepiony śniegiem, wyglądał naprawdę jak pękata rzeźba zrobiona z zimowego puchu, ale patrzył na nas tak żałośnie, że daliśmy mu spokój i solidnym otrzepywaniem przywróciliśmy go do ludzkiej postaci.

Wtedy grubas zakasłał wstydliwie i zwrócił się cicho do Kryśki:

— I o tym też opowiesz mojej mamie?

— Mhm... — skinęła głową nielitościwa koleżanka, a Wojtek odszedł jakiś przygarbiony w stronę szkoły.

Następnego dnia jednak stawił się na lekcję jazdy na nartach i tym razem rzetelnie wykonywał wszystkie polecenia pana Rosińskiego.

— Widzę, że zmieniłeś zdanie i już nie uważasz, że to dziecinada? — zapytał Waldek.

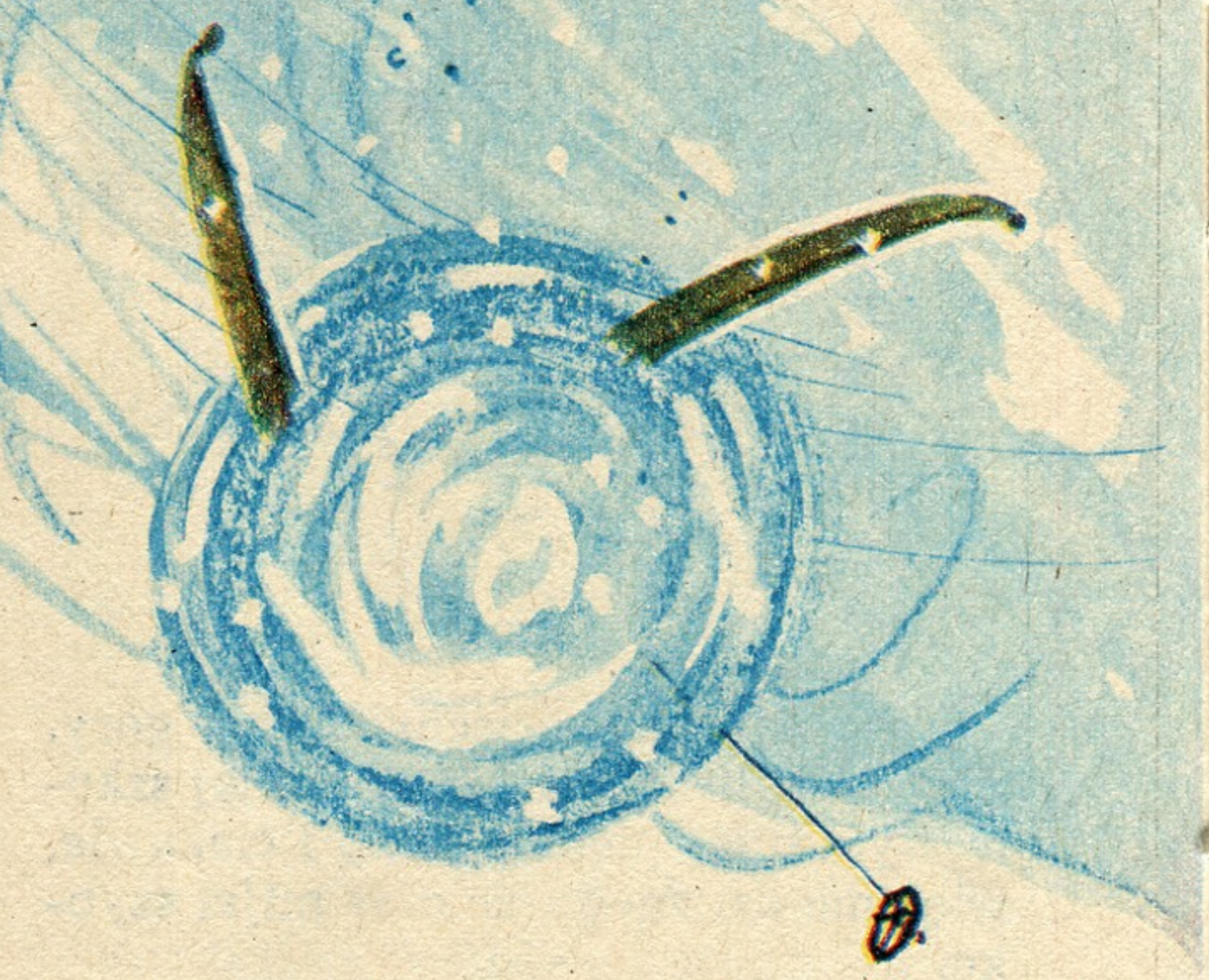

Nasz przyjaciel zerknął w stronę Kryśki i zwierzył się nam szeptem:

— Wiecie, że niedługo mamy zawody sportowe. Muszę zająć pierwsze miejsce, aby ta pieguska przestała ze mnie kpić...

Mijały dni na zimowisku. Pogoda dopisywała, więc przedpołudnia spędzaliśmy na wycieczkach i zabawach wśród białej zimy, a wieczorami spotykaliśmy się w świetlicy, gdzie czas płynął szybko i wesoło. Nasz przyja-

ciel stale pamiętał o swojej obietnicy i po każdym treningu zapowiadał nam, że w wyścigu na nartach pokaże, na co go stać, i udowodni, że w pięknym stylu pokona Kryśkę.

Tak, właśnie ją!

Startować mieliśmy parami, a grubas wylosował za partnerkę swoją prześladowczynię... Spodziewaliśmy się zaciętej walki!

Nadszedł dzień zawodów.

Na szczycie górki stanęło dwoje rywali. Pan Rosiński dał znak do startu i Kryśka pomknęła w dół. Wojtek z pobłażliwym uśmiechem poczekał chwilę i dopiero potem odepchnął się kijkami. Błyskawicznie doganiał Kryśkę i właśnie ją mijał, gdy pieguska potknęła się i przewróciła w śnieg.

I wtedy stało się coś, co nas zupełnie zaskoczyło. Wojtek, zamiast pomknąć tryumfalnie do mety, zahamował po mistrzowsku. Pochylił się nad Kryśką, pomógł jej wstać i ostrożnie sprowadził lekko utykającą do nas. Na szczęście okazało się, że z nogą jest wszystko w porządku. Staliśmy obok dwojga rywali, patrzyliśmy na nich i ciągle jeszcze nie rozumieliśmy zachowania naszego przyjaciela. Mógł wygrać, a jednak zrezygnował ze zwycięstwa... Dlaczego?

Teraz, gdy mógł łatwym sukcesem zemścić się na swojej przeciwniczce, udowodnić jej swoje sportowe zdolności?... Pojęliśmy to dopiero za chwilę, gdy pan Rosiński powiedział wobec wszystkich:

— No, Wojtek! Dzisiaj nie dojechałeś do mety, ale odniosłeś piękne zwycięstwo, rozumiesz?

— Mhm... — kiwnął głową ciągle jeszcze zasapany grubas i spojrzał na Kryśkę, a potem uśmiechnął się.

— Co się stało? — zapytała i nie wiadomo dlaczego zaczerwieniła się.

— Bo śnieżny płatek usiadł ci tak ładnie na nosku... — wyjaśnił dziwnie ciepłym głosem nasz przyjaciel. Kryśka znowu zaczerwieniła się, potem zakasłała i powiedziała:

— No to co?... Dziękuję ci za pomoc, tam, na górce. Ale twojej mamie i tak opowiem...

— Opowiesz? — westchnął przygnębiony Wojtek.

— Tak, opowiem, ale o tym, jak mnie dzisiaj ratowałeś... — uśmiechnęła się pieguska, a my wszyscy razem z nią.

Ryszard Przymus

Rys. Anna Kołakowska

TO MY I NASZE MIASTO - KONIN

Konin jest miastem wojewódzkim przedzielonym rzeką Wartą na dwie części nazywane potocznie Koninem Nowym i Starym. Łączą je liczne mosty. Stary Konin szczyci się wieloma zabytkami. Niektóre z nich to Słup Milowy z XII wieku, nazywany romańskim, dworek, w którym mieszkała pisarka Zofia Urbanowska, stare kościoły. Jest także park, który jest wspaniały.

Nowy Konin to miasto nowoczesne, nowe osiedla, bloki, wieżowce. Znajdują się tu dwa baseny (odkryty i kryty). Jest wiele szkół, przedszkoli i żłobków. Moim ulubionym miejscem spacerów jest mały park obok basenu. Lubię chodzić po jego alejkach. Moje miasto leży w środku okręgu przemysłowego. Kopalnie, elektrownie, wielkie zakłady pracy to jego wizytówka. Lubię Konin, ponieważ jest moim rodzinnym miastem.

Anna Marta Nowara, kl. Va,
Szkoła Podstawowa nr 7

Nazywam się Agnieszka Malak, mam 12 lat i chodzę do V klasy Szkoły Podstawowej Nr 4 w Koninie. Mój tatuś jest elektrotechnikiem, a mamusia kasjerką towarową. Mamusia teraz nie pracuje, ponieważ jest na urlopie wychowawczym. Ja mam jeszcze dwie siostry, Gosię i Oleńkę. Małgosia ma 10 lat i chodzi do III klasy. Oleńka ma półtora roku i jest bardzo miłym brzdącem. Strasznie lubi czekoladę i woła na nią „koka".

Agnieszka Malak

* * *

Konin ma duże znaczenie przemysłowe. Każdy wie na pewno, że wydobywa się tu węgiel brunatny. Jest wiele kopalń, zajmujących duże tereny. Sama byłam w jednej z nich. Oprócz ogromnych koparek ciągną się tam kilometrami taśmociągi przenoszące węgiel. W Koninie są także 2 elektrownie i huta aluminium. Konin jest naprawdę piękny.

Monika Kundera, kl. Vb,
Szkoła Podstawowa nr 7

Tu — w Filii Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Koninie przy ul. 22 Lipca — odbyło się pierwsze, bardzo rodzinne spotkanie Czytelników „Płomyczka" ze swoją redakcją

Fot. Stefan Rutkowski

...Moimi ulubionymi przedmiotami są język polski i biologia. Bardzo lubię czytać książki. Mam białego kundelka, którym się opiekuję i bawię się z nim. Rodzice moi pracują zawodowo, więc muszę pomagać mamusi w niektórych pracach domowych, bardzo lubię mamusi sprawiać niespodzianki. Chciałabym, aby mama była zadowolona. Moja mama ma wielkie zmartwienie, bo młodsza siostrzyczka leży w szpitalu, czeka ją ciężka operacja. Chciałabym choć trochę pomóc mamie, aby było jej lżej. Lubię karmić sikorki, wykładam im słoninkę za okno, one przylatują i smacznie zajadają, ja patrzę na nie i jest mi bardzo wesoło.

Lidka Figura, kl. Va
Szkoła Podstawowa nr 4

Mam brata bliźniaka. Chodzimy razem do tej samej klasy, siedzimy razem w ławce i dobrze się uczymy. Mój tato jest technikiem-mechanikiem w KWB (Kombinat Węgla Brunatnego) na odkrywce „Kazimierz". Pracuje na koparce typu SRS 1200. Naprawia, gdy się coś zepsuje, dogląda. Koparka ta waży 2000 ton, jej długość 150 m, wysokość 37 m. Na jednej zmianie obsługuje ją ośmiu pracowników.

Moja mama pracuje w Państwowym Ośrodku Maszynowym. Jest księgową. Księguje zakupiony towar lub sprzedany. Równocześnie jest kasjerem i wypłaca pieniądze pracownikom. POM jest najstarszym zakładem w Koninie, liczy 120 lat. Chciałbym, by w „Płomyczku" były fotografie samochodów i piłkarzy.

Dariusz Tylkowski, kl. V,
Szkoła Podstawowa nr 4

Jesteśmy uczniami klasy VIb w Szkole Podstawowej nr 1 im. Zofii Urbanowskiej w Koninie. Nasza szkoła mieści się przy jednej z głównych ulic w starej części Konina, przy ul. Kolskiej. Szkoła jest już bardzo stara, kiedyś w jednym budynku mieściły się dwie szkoły. Teraz jest jedna. Szkoła jest bardzo zatłoczona, dlatego zajęcia odbywają się aż do wieczora. Nasza klasa, na przykład, chodzi na 8.00, ale także i na 14.30. Bardzo trudno w takiej szkole utrzymać porządek i czystość, dlatego w czasie roku szkolnego musi być malowanie. W czasie malowania musimy uczyć się w salach nie przygotowanych do danej lekcji. Największym marzeniem uczniów i nauczycieli jest nowa, piękna, duża i dobrze wyposażona szkoła, lecz na to trzeba jeszcze długo poczekać, ponieważ ciągle budu-

„Płomyczek" odwiedził chore dzieci w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym. W środku, z książką w dłoniach — Krzyś Pilarczyk

duje się szkoły w nowej części Konina, a nas odsuwa się na drugi plan. Nasz pan od pracy-techniki biega z miejsca na miejsce i wszystko reperuje, co jednak nie na długo wystarcza, gdyż budynek i urządzenia są już stare i wyeksploatowane.

Klasa VIb

Jestem uczniem klasy sportowej, ponieważ lubię sport, a szczególnie bieganie. Podczas zawodów szkolnych i międzyszkolnych, w których brałem udział, osiągałem niezłe wyniki. Kilka razy byłem wyróżniany za zajęcie dobrego miejsca.

Poza sportem interesuję się filatelistyką. W swoich zbiorach mam głównie znaczki polskie. Dawniej zbierałem fotosy znanych piłkarzy. Ostatnio pochłania mnie coraz bardziej majsterkowanie i astronomia oraz astronautyka. Chciałbym zbudować sobie lunetę, aby obserwować zbliżającą się kometę Halleya.

Sebastian Wojciechowski, kl. V
Szkoła Podstawowa nr 4

ZIMOWY SPACER

Poprzez
koronkę gałązek
oglądam szare
niebo,
gdy idę
zaspanym lasem
po sypkim
wczorajszym śniegu.

Chmury
schodzą gęsiego
nad łąkę
przy jeziorze,
zostawią
skłębione odbicie
w zastygłej
w kryształ wodzie.

W białych,
puszystych kołnierzach
stoją świerki-bliźniaki,
na czubkach
iglastych palców
kołyszą lśniące płatki.

Wracamy szybko do domu,
znajoma droga
zgubi się za drzewami.
— Wieczór już wchodzi do lasu
z księżycem i gwiazdami.

Jadwiga Hockuba

CO SIĘ TEJ WODZIE ŚNI

Jezioro zimą
śpi, pod szronu
szybą kruchą.
Co się tej wodzie
śni, gdy wiatr
północny dmucha?

O czym
milczy zamknięta
między ziemią
a niebem?

Kto wstrzymał
jej fale,
gdy biegły
zdyszane do brzegu?

Wkoło cisza
biała
aż po widnokrąg szeroki.
Tylko mróz
chodzi po lodzie —
ostrożnie stawia kroki.

Jadwiga Hockuba

ŚPIĄCE JEZIORO

Pracowało jezioro do późnej jesieni —
na swych falach nosiło pontony i łodzie,
więc pragnęło odpocząć, jak ludzie zmęczeni.
Już zasnęło. Cichutko stąpajmy po lodzie.

Stefan Todorski

Rys. Wiesław Majchrzak

Tańczący słoń

20

W drzwiach zjawiła się trójka Downarów. Przodem szedł Benek, niosąc na wyciągniętych rękach paczkę przewiązaną czerwoną tasiemką. Za nim kroczyły Mariola i Melinda, a na końcu pani Downarowa, obwieszona biżuterią jak królowa Madagaskaru.

Benek podszedł paradnym krokiem do Muminka i wyrecytował kilka zdawkowych życzeń.

— Dobra jest — wpadł mu w słowo Muminek. — Mów, co jest w tym pudle.

— Sam musisz otworzyć — rzuciła znudzonym głosem Mariola.

— A mogę zgadywać? — zapytał malec.

— No, jasne — zachęcił go Benek.

— Futboluwa.

Siostry Downarówny klasnęły jednocześnie.

— Ale ty jesteś domyślny!

— Wcale nie, tylko widziałem, jak Benek kupował piłkę w tym sklepie sportowym na Żeromskiego. Nawet wiem, ile zapłacił.

— Czesiu — upomniała go babcia — w takich wypadkach nie mówi się o pieniądzach. — Powinieneś podziękować. To zupełnie wystarczy.

Malec zrobił bazyliszkowatą gębę.

Nastała chwila gnębiącej ciszy. Pani Żednicka uniosła ręce do skroni i rzuciła Muminkowi pełne żalu spojrzenie.

Muminek nie stracił konceptu. Podszedł do Benka. Wyjął mu z ręki pudełko.

— Na żartach się nie znacie — rzucił z rozbrajającym uśmiechem i w ten sposób rozładował napiętą atmosferę. Wziął z rąk Benka pudło. — To sobie jutro pogramy. Dziękuję ci! — Trącił go przyjaźnie.

W tym momencie ktoś zapukał.

Babcia Żednicka otworzyła drzwi. Ukazała się w nich znajoma para: Żałosna Mortadela i atłasowy Tolo. Powiało chłodem i sensacją. Nikt nie spodziewał się tej wizyty. Tolo drobnym krokiem, jak gdyby stąpał po zbitym szkle, ruszył w stronę Muminka.

— No, Czesiu — zaczął cicho — życzymy ci wszystkiego najlepszego. A tu masz od nas prezent. — Podał chłopcu spore zawiniątko.

Ten zdarł z niego papier i nagle westchnął głucho. W jego ręku świeżym szkliwem błysnęła figurka przedstawiająca tańczącego słonia.

Bartek aż jęknął z wrażenia.

— Skąd pan wytrzasnął tę figurkę? — zawołał mimo woli.

Świeżo wygolone oblicze eleganta okrasił sztuczny uśmiech.

— Skąd? Mój drogi, byliśmy samochodem w sąsiedniej osadzie i tam w kiosku z upominkami kupiliśmy ten prezent.

— To niemożliwe — wyszeptał chłopiec.

— Jeżeli nie wierzysz, to możesz tam pójść i przekonasz się. Zostało jeszcze kilka egzemplarzy.

Pani Żednicka wzięła figurkę w rękę i, obracając ją, bacznie się jej przyglądała.

— Tak, to zupełnie możliwe. Słyszałam, że takie same figurki wypalał tutaj pewien rzemieślnik i sprzedawał je w sklepach z pamiątkami.

Bartka zupełnie zamurowało. Doznał takiego uczucia, jak gdyby znalazł się w zaczarowanym złudnym kręgu fantazji.

— Jeszcze jedna — wyszeptał.

Muminek wyciągnął rękę po figurkę.

— Babciu, pokaż, może w niej jest brylant.

Pani Żednicka zrobiła taki ruch, jak gdyby chciała się przed kimś bronić.

— Czesiu, proszę cię bardzo, nie popisuj się przed gośćmi.

Bartek zbliżył się do niej.

— To ciekawe, bo przecież pani mówiła, że tego swojego słonia dostała w Budapeszcie.

— Bo tak właśnie było.

— To skąd się wzięły takie same słonie tutaj?

— Sama nie wiem. — Nagle zwróciła się do Tola. — Nie spodziewałam się, że jesteś taki złośliwy.

— Ależ, ciociu — uśmiechnął się kpiąco — chcieliśmy Czesiowi zrobić niespodziankę. Nie mogliśmy znaleźć nic stosowniejszego... A ciocia przecież opowiadała, że taki słoń przynosi szczęście.

— Dziękuję — rzuciła z przekąsem. — Po tobie nie można spodziewać się niczego dobrego...

— Jeśli to ma być komplement, to serdecznie dziękuję. — Skłonił się obecnym. — I przepraszam, ale muszę już odejść, bo w hotelu mam czekać na ważny telefon... — Drobnymi kroczkami zbliżył się do drzwi, a gdy złapał za klamkę, zwrócił się do pani Żednickiej: — Do zobaczenia, ciociu, bo jutro wyjeżdżam.

— Bóg z tobą — rzuciła oschle.

Tolo wyszedł, a w pensjonatowym pokoju zapanowało kłopotliwe milczenie. Bartek w swym dociekliwym umyśle starał się zrozumieć, co się przed chwilą stało, lecz był tak zaskoczony, że nie potrafił uporządkować myśli.

Milczenie przerwał Muminek.

— Babciu, a kiedy będę dmuchał na świeczki?

Pani Żednicka posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie. On jeden potrafił rozładować tę przykrą atmosferę. Podeszła więc do stołu i jęła zapalać świeczki, a gdy nad szóstą ukazał się chwiejny płomyk, skinęła na wnuka.

— Dmuchaj, ale tak, żeby wszystkie zgasły.

Muminek zaczerpnął do płuc powietrza. Chciał dmuchnąć, lecz w tej samej chwili znowu ktoś energicznie zapukał do drzwi. Wszyscy skierowali wzrok w tamtą stronę. Pani Żednicka powiedziała: „Proszę". I nagle mocno pchnięte drzwi otworzyły się i stanął w nich nieznajomy mężczyzna. Był średniego wzrostu. Miał na sobie nieprzemakalny płaszcz i szary, płócienny kapelusz, przypominający odwrócony dnem do góry garnek.

— Milicja — powiedział głośno. — Czy to jest pokój pani Doroty Żednickiej?

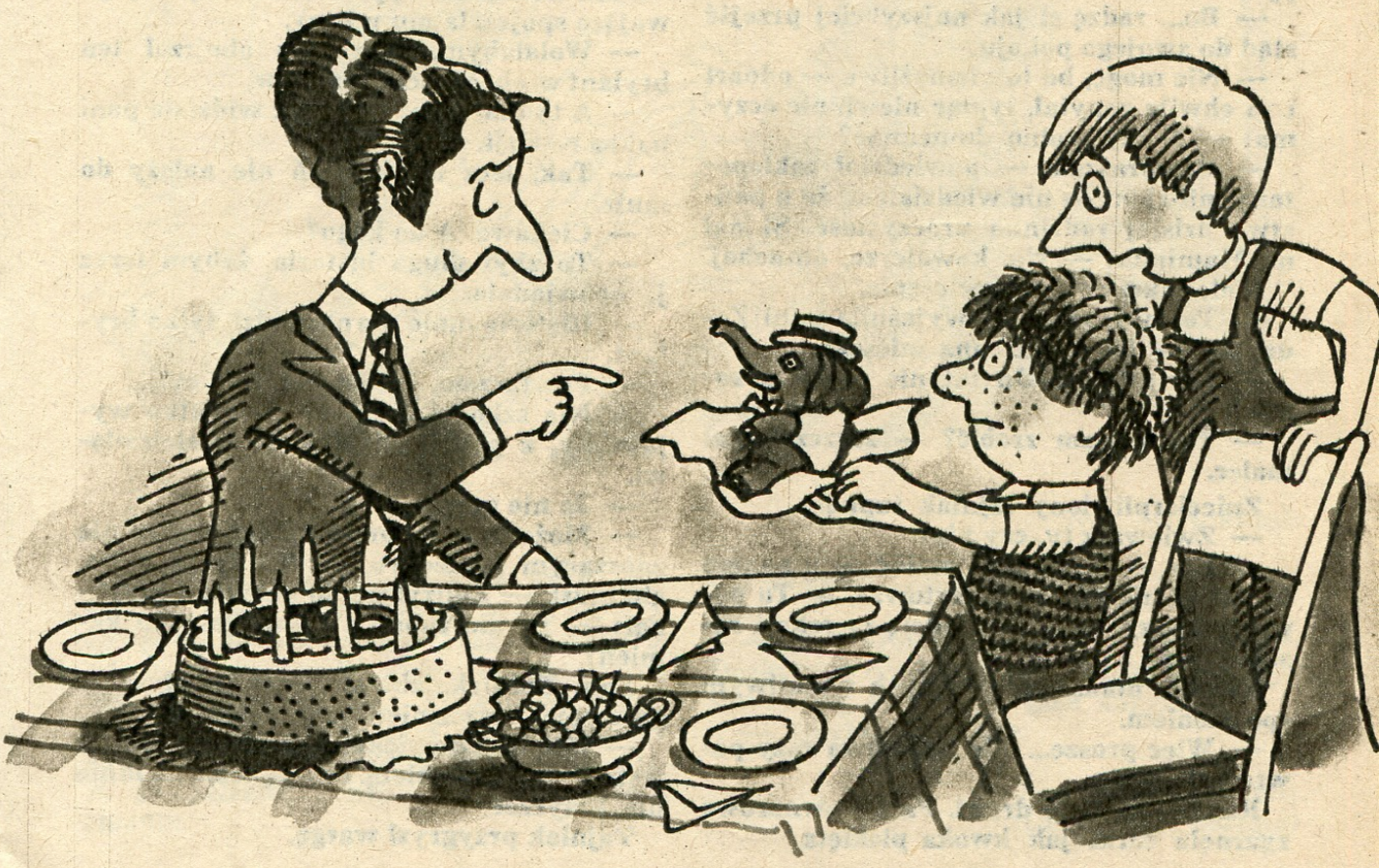

— Tak — wyszeptała cicho. — A co się stało?

Mężczyzna wyjął z kieszeni kartkę.

— Mam nakaz przeprowadzenia rewizji.

* * *

Zapanowała zupełna cisza. Wszyscy wlepili oczy w nieznajomego i, gdyby w tej chwili w pokoju ukazał się nosorożec, nie zrobiłby większego wrażenia niż ta wiadomość.

— To chyba jakaś pomyłka? — wyszeptała pani Żednicka.

Nieznajomy zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, proszę pani — powiedział cicho, jakby się chciał usprawiedliwić. Rozejrzał się po pokoju. — Przepraszam, ale będę musiał poprosić, aby każdy z państwa przeszedł do swego pokoju.

— A pan ma przy sobie spluwę? — zapytał Muminek nie zmrużywszy powieki.

Tajniak wzdrygnął się. Nie spodziewał się takiego pytania, więc zgromił malca spojrzeniem.

— A ty gdzie mieszkasz?

— Ja... u babci.

— A gdzie babcia?

Muminek uśmiechnął się chytrze.

— Babcia jest u siebie. A dlaczego pan pyta?

— Bo... radzę ci jak najszybciej przejść stąd do swojego pokoju.

— Nie mogę, bo to niemożliwe — odparł i za chwilę zapytał, łypiąc niewinnie oczyma: — A czy wolno dmuchnąć?

— Przepraszam — powiedział zakłopotany milicjant — nie wiedziałem, że u państwa dzisiaj rodzinna uroczystość. Skinął na Muminka: — No, kawalerze, dmuchaj.

Malec skrzywił się pociesznie.

— To mój wnuk — wyjaśniła pani Żednicka. — On tu ze mną mieszka.

— Nie szkodzi. On też nie może tu zostać.

— To co mam zrobić? — zaszczebiotał malec.

Zniecierpliwiony tajniak tupnął.

— Zwiewasz ty, czy nie!

— Eee — westchnął malec — z panem to nawet nie można pożartować. — To powiedziawszy wziął Mortadelę za rękę i razem wyszli z pokoju.

Tajniak otaksował obecnych wnikliwym spojrzeniem.

— Więc proszę... Nie będę dwa razy powtarzał.

Ruszyli ławą do drzwi. Pani Downarowa zgarnęła córki jak kwoka pisklęta.

— Chodźmy — odęła się. — To niesłychane, taki skandal... Taki wielki skandal.

Kiedy zatrzasnęły się drzwi za ostatnią osobą, tajniak skierował surowy wzrok na panią Żednicką.

— Pani chyba domyśla się, w jakiej sprawie...

— Nie, proszę pana — przerwała mu. — I protestuję. Jak można tak kogoś nachodzić.

— Zaraz, zaraz, droga pani, proszę powiedzieć, gdzie pani schowała tę porcelanową figurkę?

— Nigdzie i przed nikim jej nie chowam — odparła gniewnym głosem. — Nie mam niczego do ukrywania. — Podeszła szybko do nocnej szafki i z szuflady wyjęła posklejaną figurkę.

Tajniak błyskawicznym ruchem wyrwał ją z dłoni kobiety. Chwilę przyglądał się jej z pełnym podziwu zaciekawieniem.

— No, no... Kto by się spodziewał, że w takiej zwykłej skorupie kryją się takie skarby.

— Zapewne chodzi panu o brylant?

— O, proszę — uśmiechnął się — jaka pani domyślna.

— Brylantu nie ma w tej figurce — powiedziała wolno.

— A gdzie jest?

Pani Żednicka wyprostowała się. Wyzywająco spojrzała mu w oczy.

— Wolałabym, żeby pan obejrzał ten brylant w obecności świadków.

— A to dlaczego? Przecież widziała pani nakaz rewizji.

— Tak, lecz ten kamień nie należy do mnie.

— Ciekawe. A do kogo?

— To zbyt długa historia, żebym teraz ją opowiadała.

— Historia mnie nie obchodzi, tylko brylant.

— Powtarzam, że on nie jest mój.

— Nie szkodzi. Najpierw wszystko wyjaśnimy, a potem oddamy go właścicielowi.

— Ja nie mogę...

— Może pani — przerwał jej głosem nie znoszącym sprzeciwu. — Nie tylko może, ale musi. — Zbliżył się do kobiety i krzyknął: — To nie zabawa. Gdzie jest ten kamień?

Pani Żednicka zbladła, oczy jej błysnęły gniewnie, a zaciśnięte usta posiniały.

— Młody człowieku, zapomina pan, że jestem starszą kobietą. Proszę więc na mnie nie krzyczeć.

Tajniak przygryzł wargę.

— A ja jestem oficerem służby śledczej i mam rozkaz dostać od pani ten brylant.

— Mówię panu po raz trzeci, że to nie mój brylant i nie mam prawa oddawać go panu.

— Muszę przynajmniej zobaczyć — powiedział już ciszej.

— A ja nie mam ochoty pokazywać go panu.

— Radzę pani postępować rozsądnie. W przeciwnym razie będziemy musieli pruć cały pokój. Nie sądzę, by to było przyjemne.

— Dobrze — wyszeptała, opuszczając bezradnie ramiona — ale niech pan przyrzeknie, że nie zabierze go pan.

— Co — zaśmiał się cierpko — milicji pani nie wierzy?

— Wierzę i dlatego pokażę panu brylant. — Podeszła szybko do szafy i z górnej półki wydobyła koszyczek z przyborami do szycia. Dociekliwym wzrokiem śledził każdy ruch kobiety. Ta położyła koszyczek na stole, otworzyła go, by spośród motków nici wyjąć motek przędzy. Ścisnęła go palcami i nagle jeszcze bardziej zbladła.

— Nie ma go — wyszeptała drżącym głosem.

Oficer wyrwał jej motek.

— Jest pani pewna, że tu go schowała?

— Tak.

— Więc co się z nim stało? — zawołał wzburzony.

— Sama nie wiem. Wczoraj, kiedy wróciłam od jubilera, schowałam go do tego motka.

— Może jednak gdzie indziej?

— Nie. Pamiętam doskonale...

— To co pani z nim zrobiła? — Chwycił ją za przegub ręki.

— Panie! — Spojrzała nań nienawistnie. — Proszę mnie puścić.

Oficer nie mógł opanować wielkiego zdenerwowania. Jeszcze mocniej ścisnął jej rękę.

— W takim razie robimy rewizję. — Doskoczył do drzwi, pchnął je, i wychyliwszy się, zawołał w głąb korytarza:

— Suliński, do mnie.

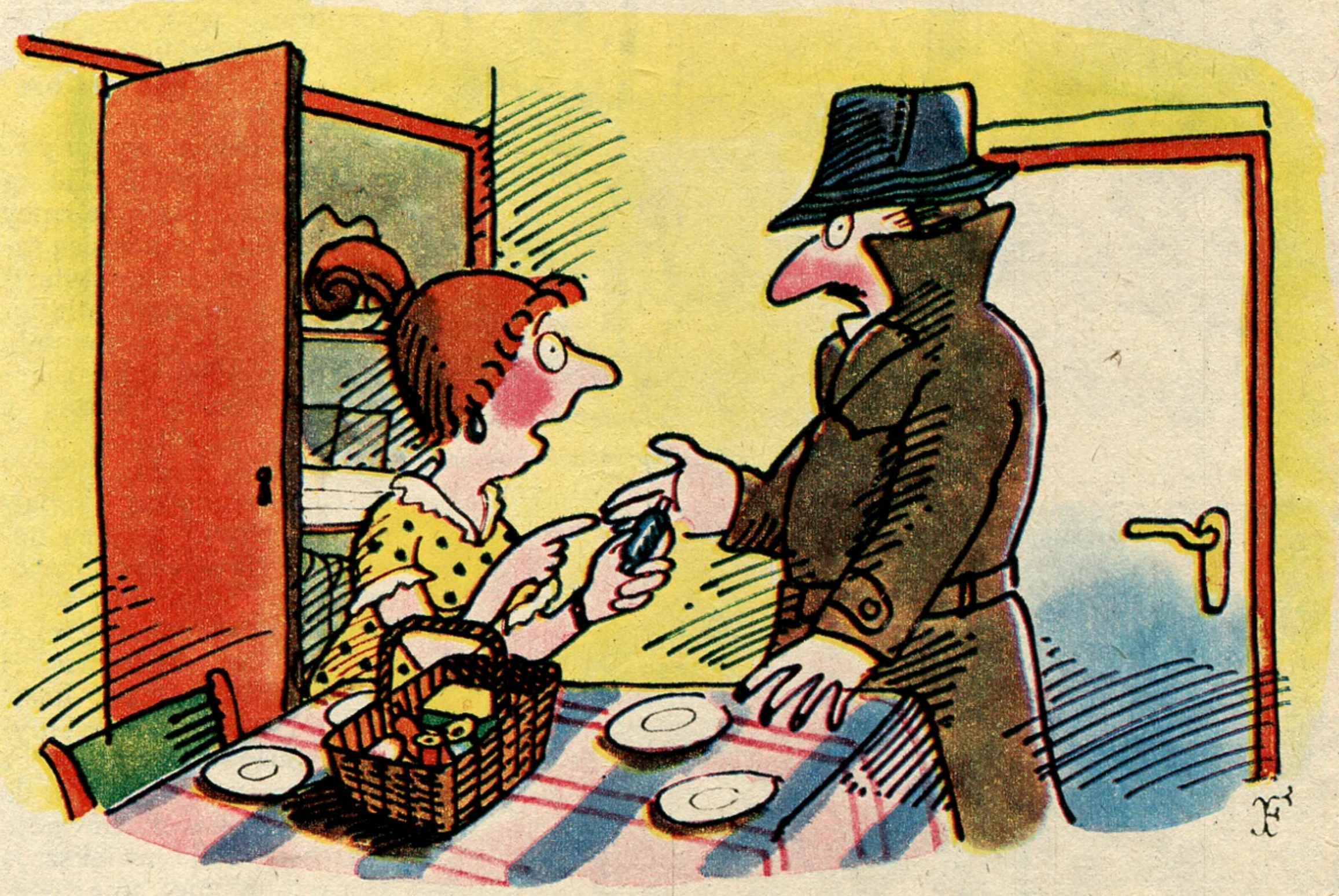

Rys. Jerzy Flisak

Adam Bahdaj

(Ciąg dalszy nastąpi)

SÓL KAMIENNA Z KŁODAWY

Fot. Ryszard Fórmanek

Po wyczerpaniu złóż w Wieliczce, największą w Polsce kopalnią soli kamiennej jest zakład w Kłodawie. Miasteczko to, legitymujące się starą metryką, głośne w XV w. z racji istnienia w nim filii Akademii Krakowskiej, w której wykładał wybitny erudyta, Sędziwój z Czechla, zrobiło największą karierę w Polsce Ludowej. Złoża soli odkryto tutaj w 1947 roku. Ekosploatację rozpoczęto w końcu 1956 roku. Dzisiaj, podróżujących trasą E-8, zaskakują na równinym terenie charakterystyczne pejzaże górnicze: wysoka hałda ziemi i strzeliste wieże szybów: „Michał", „Chrobry" i „Barbara".

Z pokładów wydobywczych, sięgających 750 m pod ziemię, „biali" górnicy wydobywają za pomocą samojezdnych wozów wiertniczych w każdym miesiącu ponad 100 tys. ton soli. W końcu 1985 roku z kopalni wyjechał wózek z napisem „22 miliony ton". Tyle soli dała gospodarce narodowej kopalnia od chwili jej uruchomienia. Największym spośród 2600 odbiorców soli z Kłodawy są zakłady chemiczne w Tarnowie i Oświęcimiu. Duże ilości zakupują zakłady przemysłu spożywczego. Sól z Kłodawy wysyłana jest do Węgier i Czechosłowacji. Wartość soli zwiększają zawarte w niej mikroelementy: wapń, magnez, żelazo, jod, siarczany, które nadają jej różnobarwne odcienie: żółte, brązowe, czerwone, niebieskie. Takich zdrowotnych dodatków nie posiada używana przez gospodynie domowe sól biała, „warzona", z Inowrocławia.

L. H.

ALUMINIUM Z KONINA

Aluminium, czyli glin, otrzymujemy podobnie jak inne metale z rudy, przez przeróbkę w hucie.

Glin ma wiele bardzo ważnych zastosowań w przemyśle i gospodarce, zarówno w postaci czystej, jak i w stopach z innymi metalami. Najpopularniejsze z nich to duraluminium i magnalium. Z uwagi na dobre przewodnictwo elektryczne, produkuje się z niego kable i przewody energetyczne, jest lekki, ma dobre właściwości mechaniczne i odporność na korozję — jest dobrym materiałem na kształtowniki i blachy, niezbędne szczególnie w konstrukcjach lotniczych.

Proces przeróbki rudy aluminium, czyli boksytu (który sprowadzamy z Węgier), na czysty metal, wymaga wielkich ilości energi. Dlatego też huty aluminium budowane są w pobliżu dużych elektrowni. To spowodowało, że jedyna czynna obecnie, po zamknięciu Skawiny, polska huta aluminium powstała w Koninie, w sąsiedztwie wielkich kopalni odkrywkowych węgla brunatnego i zespołu pracujących na tym węglu elektrowni.

Budowę konińskiej huty aluminium rozpoczęto w 1961 r. Po pięciu latach zostały oddane do eksploatacji hale elektrolizy oraz hale odlewni. W 1972 r. uruchomiono urządzenia w nowo wybudowanym obiekcie walcowni i rozpoczęto produkcję blach i taśm z aluminium oraz z jego stopów.

Produkcja huty w Koninie tylko w części pokrywa zapotrzebowanie naszej gospodarki na aluminium i jego przetwory, bez których nie może się obejść przemysł elektromaszynowy, lotniczy, stoczniowy, spożywczy i w coraz większym stopniu budownictwo. Trzeba myśleć o rozbudowie istniejącej huty aluminium, ewentualnie o budowie nowych i — co szczególnie ważne — o wytopie aluminium z surowców krajowych, których jest w Polsce pod dostatkiem. Są już opracowane przez polskich naukowców nowe technologie umożliwiające otrzymywanie metalu z glin stanowiących często nadkład nad złożami węgla brunatnego. Głównym twórcą tej metody jest znany chemik i wynalazca prof. Jerzy Grzymek z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

I na koniec sprawa niezmiernie ważna. W procesie otrzymywania aluminium wy-

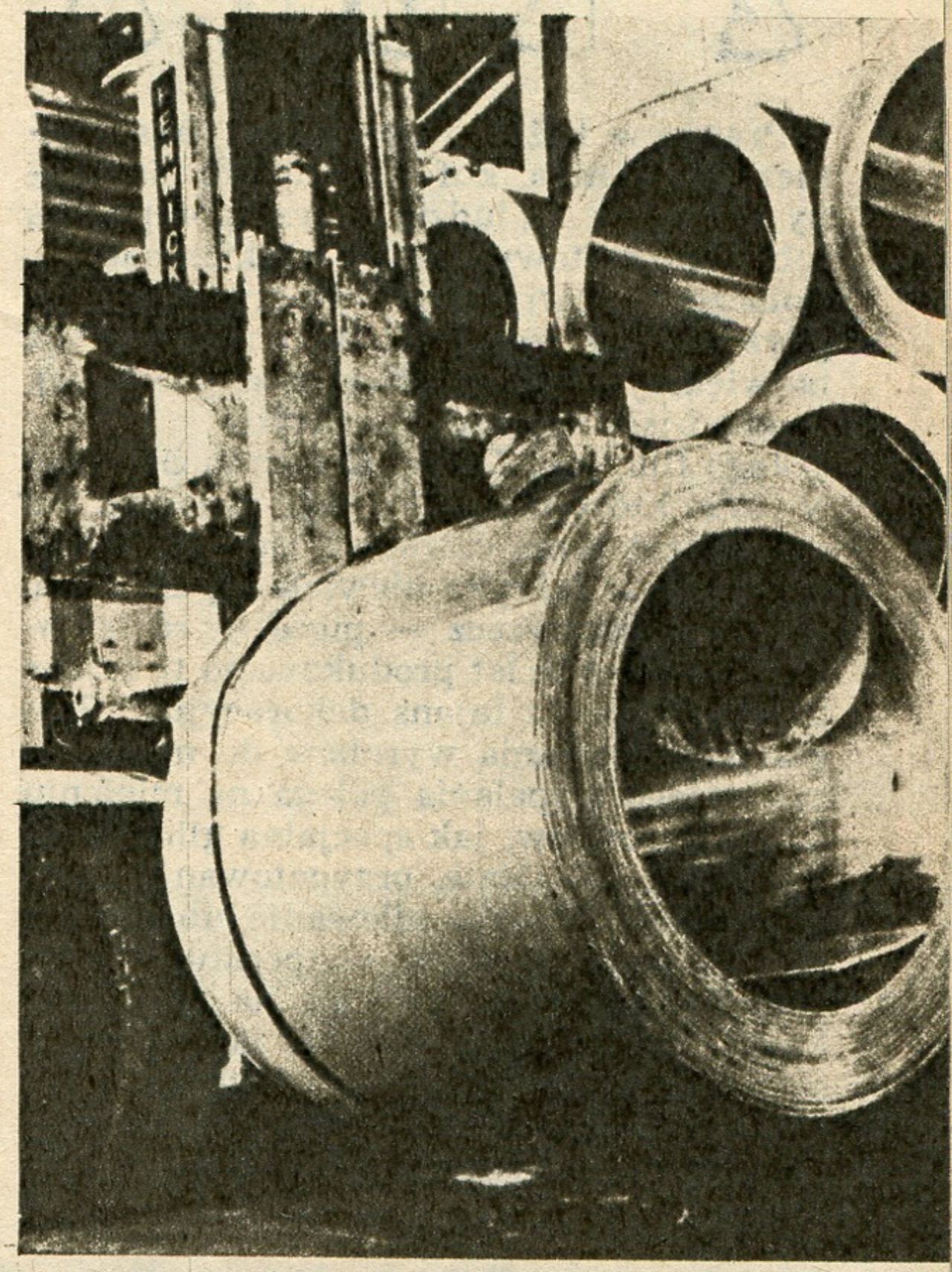

zwala się ogromna ilość substancji szkodliwych dla otoczenia, szczególnie fluorków, mogących stanowić zagrożenie dla zdrowia, a nawet życia nie tylko pracowników huty, ale i okolicznych mieszkańców. Wyeliminowanie tych zagrożeń wymaga budowy specjalnych instalacji czyszczących, co znacznie podwyższa koszty produkcji. Ale czy jest coś cenniejszego niż zdrowie ludzi i czyste, niezatrute środowisko, w którym będziemy żyli?

Budowniczowie huty aluminium w Koninie nie zapomnieli o potrzebach ochrony środowiska naturalnego. W trakcie budowy zainstalowano nowoczesne, jak na owe lata, urządzenia importowane, neutralizujące w znacznym stopniu szkodliwe działanie związków fluoru.

M. C.

FAJANS Z KOŁA

Prawie w każdym domu jest jakaś solniczka, filiżanka, kufel czy talerz malowany w kwiaty. Są ludzie, którzy kompletują sobie całe zastawy stołowe z takich naczyń. Potocznie mówi się o nich „włocławek", gdyż właśnie we Włocławku znajduje się największy Zakład Ceramiki Stołowej, produkujący fajansowe nakrycia.

Jego filią jest Zakład Ceramiki Stołowej w Kole, który miałam okazję zwiedzić. Od czasów założenia w 1847 r. przez J. Freudenreicha ta fabryka niewiele się zmieniła. Najważniejsza rzecz — piece — są te same. Przez wiele lat produkowano tu fajans użytkowy, teraz fajans dekoracyjny. Proces przygotowania wyrobów do momentu pierwszego wypalania polega na mieleniu takich surowców, jak specjalna glina, kaolin, kwarc i skalenie, przygotowaniu masy i uformowaniu przez odlewanie lub na toczkach. Później masę w temperaturze 1200 stopni Celsjusza wypala się na tzw. „biskwit" (tak nazywa się ceramikę wstępnie spieczoną, nie szkliwioną). I wtedy zaczynają swoją pracę panie w malarni, artystki, które własnoręcznie malują wzory

Fot. Stefan Rutkowski

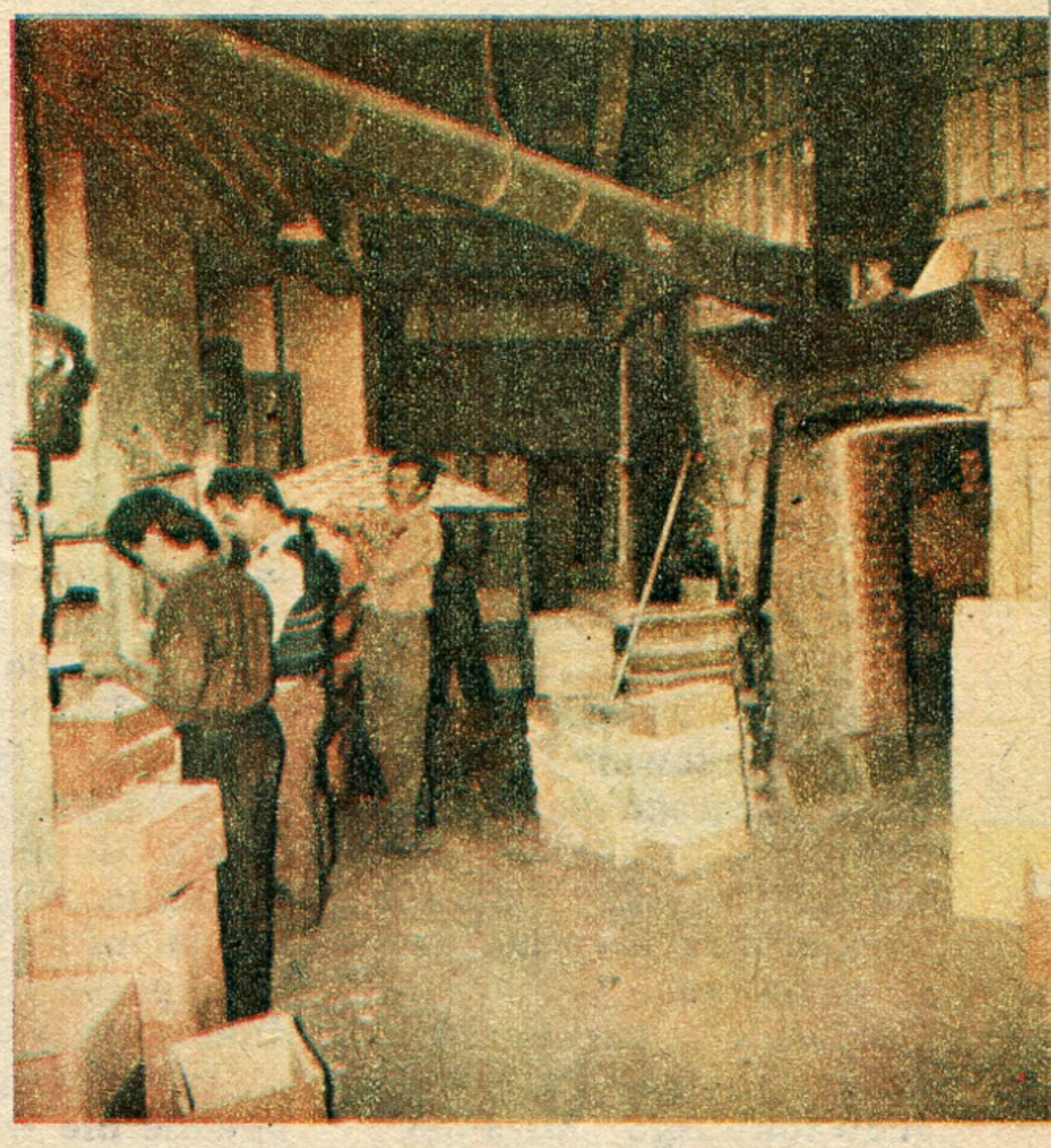

kwiatowe na naczyniach. Przed nimi, na dużych stołach stoją miseczki z farbami, leżą pędzle. Całą pracę wykonują ręcznie, nie ma chyba dwóch identycznych wyrobów wychodzących spod ich rąk.

Pani Beata, która jest tu stażystką, uczyła się zawodu w Technikum Sztuk Plastycznych, specjalizując się w ceramice artystycznej. Pani Elżbieta przez trzy lata uczyła się w szkółce malarskiej przy Zespole Szkół Zawodowych. Pracuje w Zakładzie dopiero parę miesięcy i lubi swoją pracę.

Kiedy kubek, talerz czy filiżanka są już pomalowane, trafiają do pojemnika ze szkliwem, skąd wychodzą jakby całe w białej farbie. Po wyschnięciu szkliwa naczynia umieszcza się w pojemnikach odpowiedniej wielkości, które ustawia się w wielkim piecu, by ponownie je wypalić. Tych wielkich pieców jest sześć, a w jednym mieści się ok. 8,5 tys. sztuk ceramiki fajansowej. Tyle właśnie wynosi produkcja dzienna malarni.

Powtórne wypalanie trwa 18 godzin, przez ok. 80 godzin piec stygnie. Gdy ostygnie, wyjmuje się z niego pojemniki z fajansem, który nie jest już czysto biały — szkliwo po wypaleniu staje się przezroczyste i ujawniają się wzory wcześniej namalowane. A jakie, obejrzyjcie na fotografiach.

Maria Czernik

MIRANDA W TURKU

Bardzo często zamiast powiedzieć o czymś, że jest miękkie, gładkie, delikatne, połyskliwe — mówimy: jedwabiste, jedwabne, jak jedwab.

Jedwab kojarzy się z piękną, zwiewną suknią, powiewnym szalem, a także z bielizną. Jedwabna tkanina powstała z przędzy produkowanej z włókna tworzącego kokon gąsienicy jedwabnika. Ale jedwab to także sztuczne włókno otrzymywane drogą chemiczną.

Właśnie w Turku odwiedziłam Zakłady Przemysłu Jedwabniczego „Miranda". Zastanawiałam się, skąd pochodzi ta nazwa. Być może, od nazwy hiszpańskiego miasta Miranda de Ebro, znanego właśnie z przemysłu włókienniczego, specjalizującego się w wyrobach włókien sztucznych...

Moim przewodnikiem po Zakładach Przemysłu Jedwabniczego był inż. Bolesław Cięciel — Zastępca Dyrektora do spraw Produkcji. Dokładnie objaśnił i pokazał, jak przebiega produkcja sztucznego jedwabiu. Robiło to ogromne wrażenie. Nigdy nie zastanawiałam się dokładnie, w jaki sposób zostały wyprodukowane welurowe zasłony w moim pokoju, a i Wy pewnie nie wiecie, jak powstał materiał, z którego uszyty jest fartuszek szkolny.

Przez poszczególne oddziały „Mirandy" przechodzi dziennie 130 tys. metrów materiału. Produkcja zaczyna się od SNOWALNI. Tu na każdy wałek — taką ogromną szpulę — nawija się jednocześnie 1155 snutych nici. Z nici tych w DZIEWIARNI powstaje tzw. dzianina surowa. Jej struktura wygląda jak robótka na drutach — ma oczka, w odróżnieniu od tkaniny, na którą składa się wątek i osnowa. Tu dzienna produkcja wynosi 15 ton dzianiny surowej. W dziewiarni zainstalowany jest elektroniczny system wychwytywania błędów. Na ramie SNOWARKI zapalają się czerwone światełka sygnalizujące zepsutą lub zerwaną nitkę.

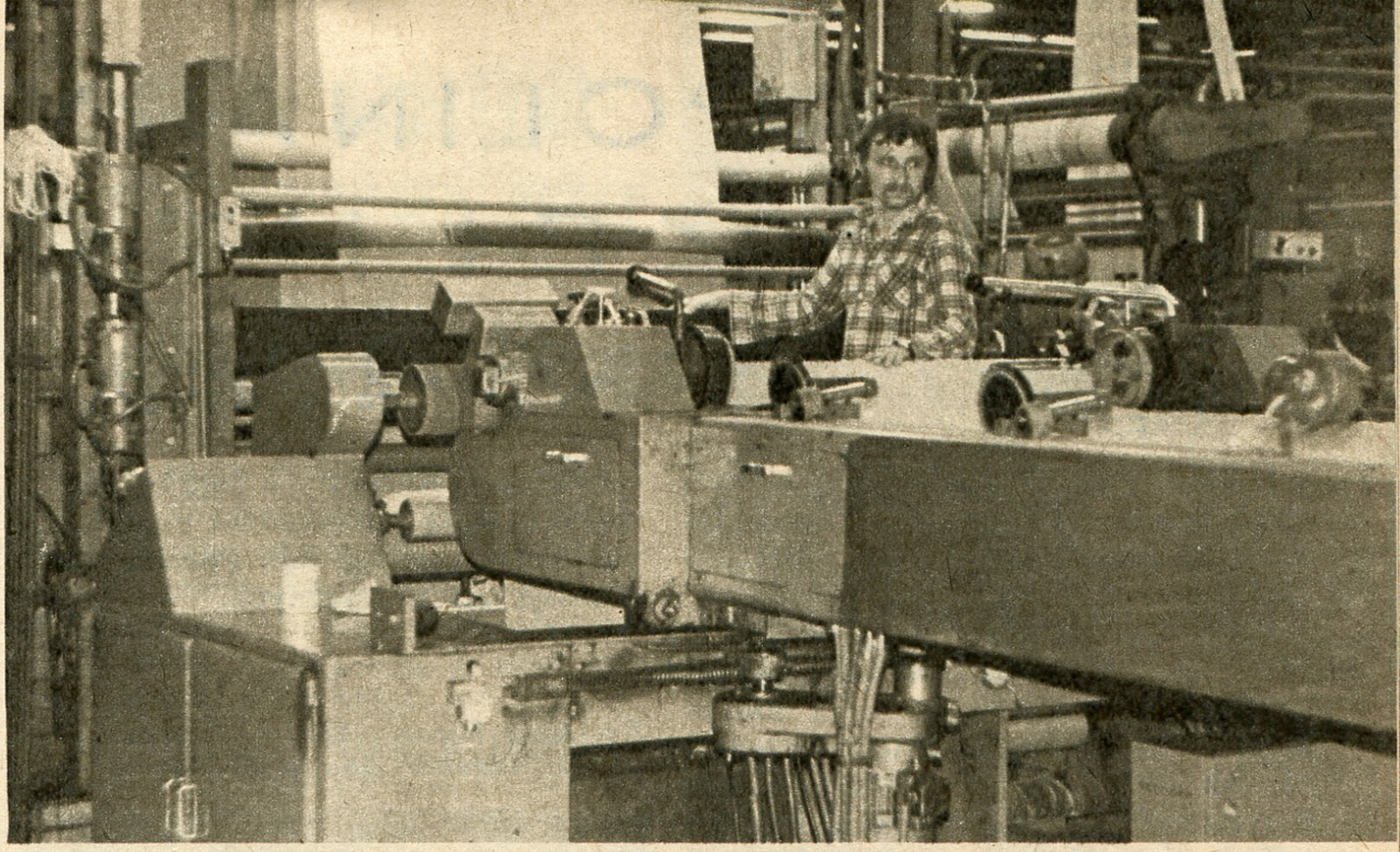

Fotokomórki wychwytują najmniejszy nawet pyłek na nitce i same zatrzymują maszynę.

Następnie dzianinę poddaje się wstępnej obróbce: pierze w PRALNICY, poddaje suszeniu i tzw. stabilizacji w temperaturze ok. 200°C. Po tych zabiegach materiał staje się mniej ciągliwy. Tak przygotowaną dzianinę nawija się na perforowane wały (ok. 500 kg na wał) i odstawia do oddziału FARBIARNI. Przez system szablonów nakładane są na dzianinę różne wzory i kolory. Niektóre materiały trafiają do DRAPARNI, gdzie są „drapane" przez maszyny, zwane „draparkami". Po tym zabiegu powstaje na nich ładny meszek. Taki „drapany" materiał nazywa się welurem i z niego właśnie szyje się zasłony.

50% produkcji ZPJ „MIRANDA" to podszewka dziana, z której między innymi uszyty jest Twój szkolny fartuszek.

Elżbieta Brzoza

APOLINARY SZELUTO

W mieście Słupca, niegdyś powiatowym, w dawnej Ziemi Konińskiej, stoi skromny pomnik Apolinarego Szeluty (1884—1966).

Apolinary Szeluto żył i pracował w Słupcy od 1933 r. Z zawodu był notariuszem, a z zainteresowania muzykiem. Nazwisko jego nie jest tak sławne, jak kompozytorów z okresu „Młodej Polski", Karola Szymanowskiego i Ludomira Różyckiego. Jednak artystyczny dorobek tego kompozytora jest ogromny, choć w większości mało znany, ponieważ tylko niewiele utworów zostało wydrukowanych.

Szeluto jest autorem licznych symfonii, poematów symfonicznych, kilku oper, baletu, utworów kameralnych, koncertów fortepianowych oraz pieśni solowych i na chór.

Opery Apolinarego Szeluty mają tytuły: „Kalina", „Pani Chorążyna", suita symfoniczna — „Pan Tadeusz", balet — „Świteź", poematy symfoniczne — „Cyrano de Bergerac" i „Mazepa".

Apolinary Szeluto często koncertował publicznie, grał na fortepianie utwory własne oraz muzykę polską i światową. Koncerty z jego kompozycjami dawała Filharmonia Poznańska, wiele utworów ogłosiło Polskie Radio w audycjach muzycznych.

L. H.

Ilustracja Michała Elwiro Andriollego do „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza

KULIG

Napisał Apolinary Nosalski

Śnieg srebrzyście
skrzy się w słonku,
jedzie kulig
z dźwiękiem dzwonków.

Pędzą konie
i rząd sanek,
jadą dzieci
roześmiane.

Śnieżną drogą
jedzie Zima,
kwiaty z mrozu
w dłoni trzyma.

PROFESOR MIECZYSŁAW BEKKER

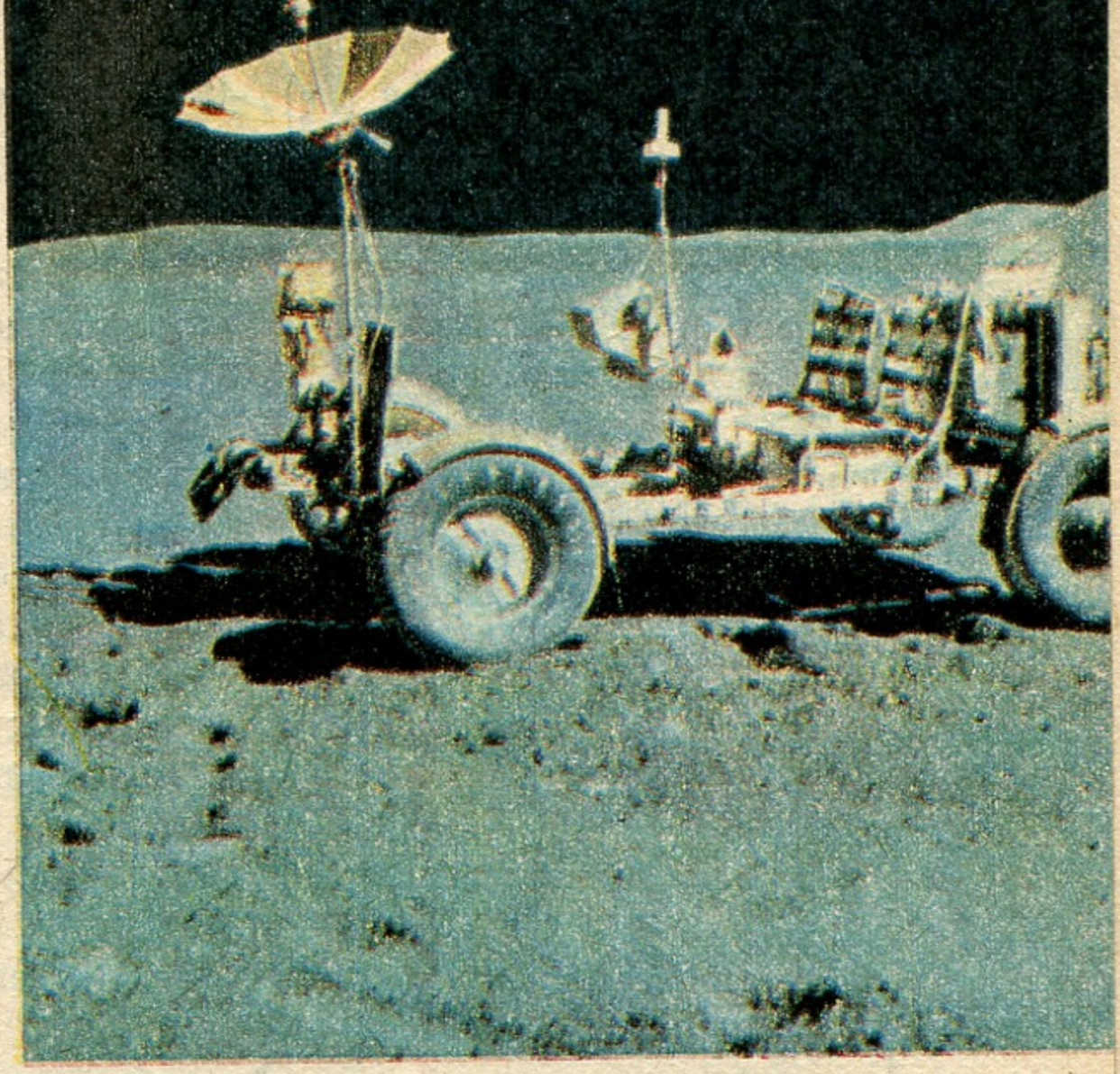

W październiku 1979 r. władze miejskie Konina przyznały dyplom Honorowego Obywatela Miasta — Mieczysławowi Bekkerowi. Jako chłopiec zamieszkał w Koninie z rodzicami na początku tego wieku w cukrowni „Gosławice". Po ukończeniu gimnazjum w Koninie rozpoczął studia na Politechnice Warszawskiej. Po uzyskaniu dyplomu od 1931 r. pracował w Instytucie Badań Inżynieryjnych. W czasie wojny zatrudniony był w USA przy projektowaniu broni pancernej. Po wojnie został w USA. Zajął się badaniem wzajemnych oddziaływań pomiędzy gruntem a wszelkiego rodzaju pojazdami. Okrzyknięto go „mistrzem ruchu po bezdrożach". Napisał trzy książki na ten temat. Według jego projektów skonstruowano pojazdy wielosiowe, które pracowały na Alasce i w Grenlandii. Największym sukcesem profesora Bekkera była praca nad pojazdem zdolnym do poruszania się na Księżycu. Pracownia firmy „General Motors", którą kierował, zbudowała pojazd najlepszy. Był to słynny kołowiec (LRV), mający wmontowane w piasty kół silniki elektryczne, a opony wykonane z plecionki ze stalowego drutu. Pojazd ważył na Księżycu 100 kg, na ziemi 600 kg. Ogniwa elektryczne umożliwiały przejechanie 100 km. Trzy egzemplarze pojazdu, pierwszy na „Apollo" 15, doskonale radziły sobie z pyłem księżycowym i wszelkimi nierównościami gruntu.

Profesor Mieczysław Bekker utrzymuje związki uczuciowe z miastem Koninem, gdzie mieszkał przez 27 pierwszych lat swego życia.

Lech Hejman

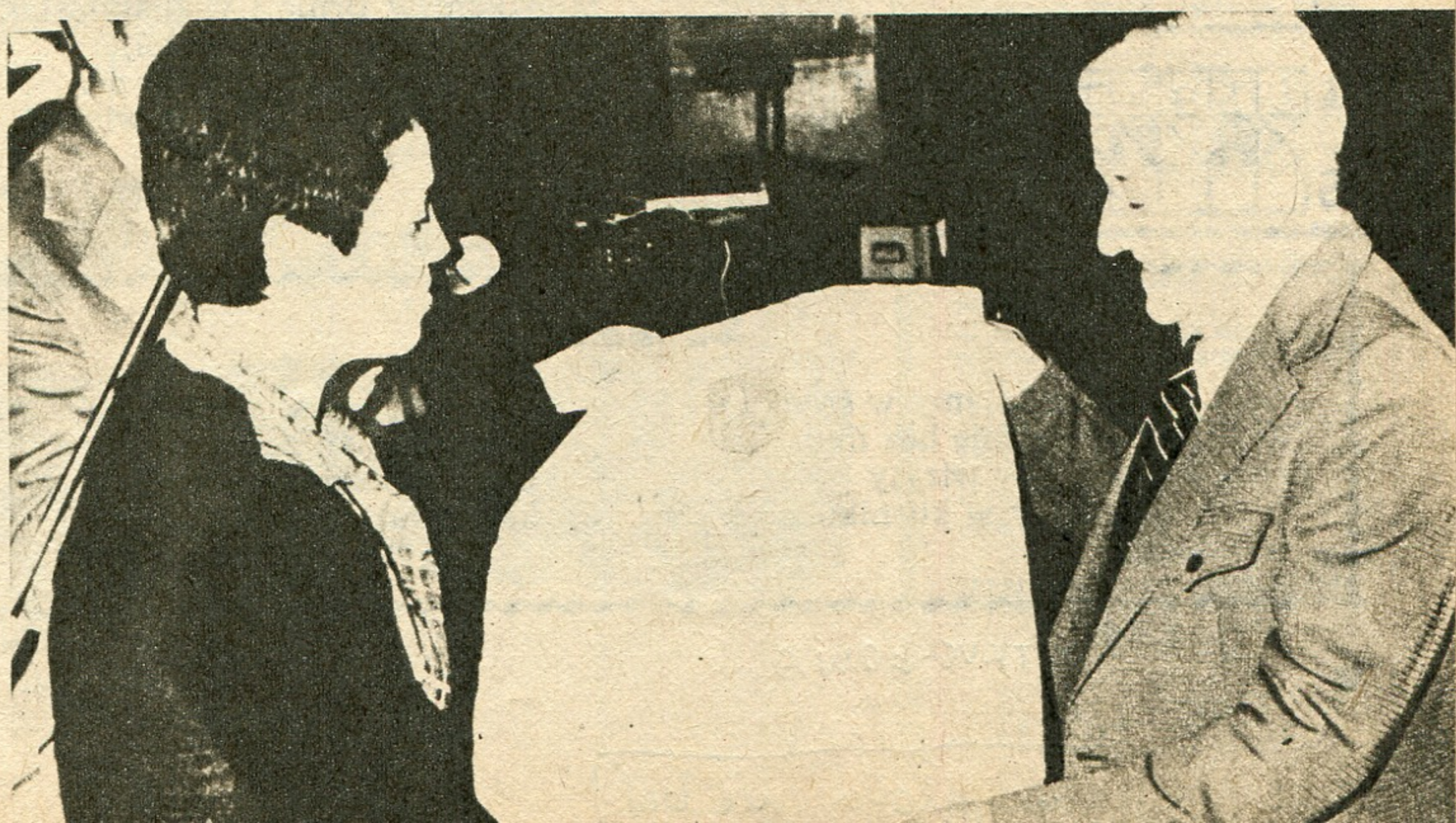

Profesor Mieczysław Bekker (z prawej strony) otrzymuje dyplom Honorowego Obywatela Konina

ZGADUJ • ZGADULA • ZGADUJ • ZGADULA

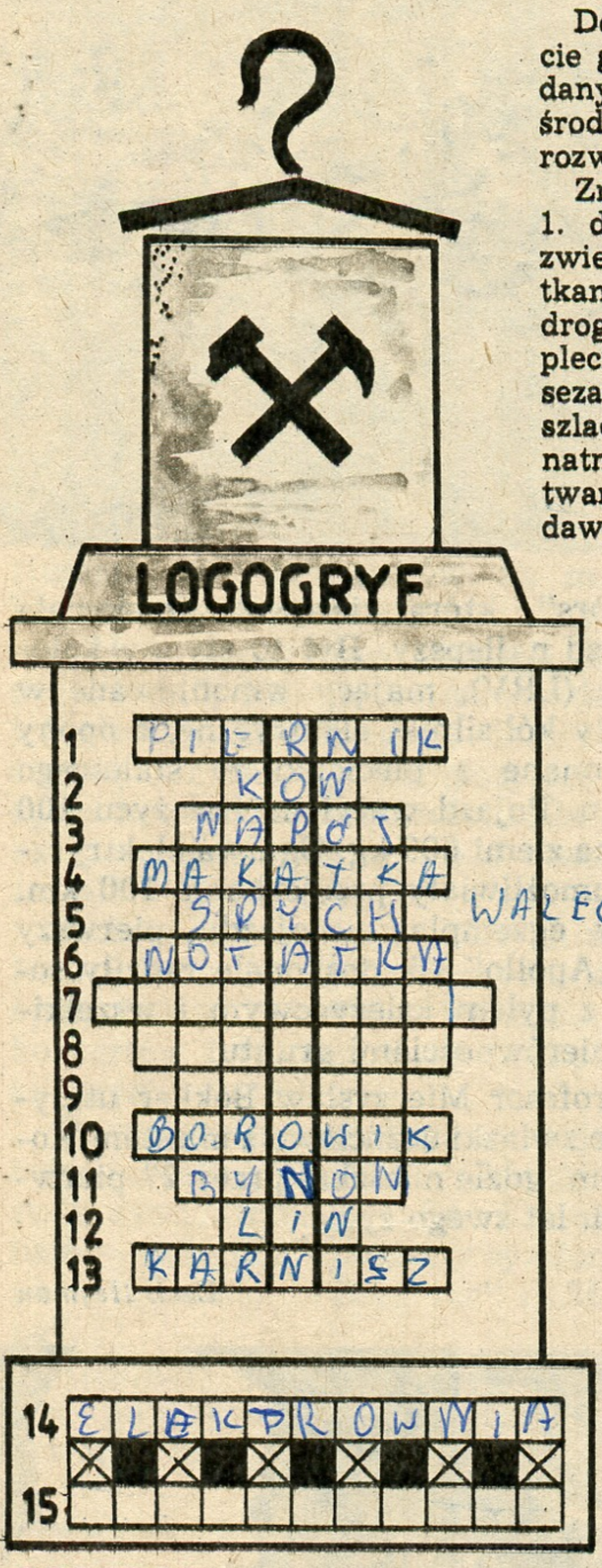

Do pustych kratek logogryfu (który jest w kształcie górniczej lampy) wpiszcie poziomo wyrazy o podanych niżej znaczeniach. Litery w zaznaczonym środkowym rzędzie czytane z góry na dół utworzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

1. dwa herbatniki złączone masą śmietankową, 2. zwierzę domowe, 3. do picia, np. oranżada, 4. nieduża tkanina dekoracyjna wisząca na ścianie, 5. maszyna drogowa, 6. zapis szkolnych wydarzeń, 7. wyrób z plecionego sznurka lub koralików, 8. ciastko z nasion sezamu, 9. nie obsadzony etat, wolne miejsce, 10. szlachetny grzyb, 11. stolica przemysłu węgla brunatnego, 12. ryba, 13. wisi na nim firanka, 14. wytwarza prąd, 15. wydobywa się ją w Wieliczce i Kłodawie.

Szyfr

Każdej literze alfabetu w tej zagadce odpowiadają litery od 1 do 24. Pamiętając o tym, spróbujcie odczytać poniżej zapisany szyfr, w którym ukrywa się przysłowie polskie.

16-4 17-18-24-23-2-23-20-11-21
7-13-16-22-1 15-9-5
2-16-12-9

J. S.

Zagadka 1

Ma mnie bocian, bóbr i żaba
oraz bednarz, pan Barnaba.
Zbieram grzyby w ciemnym borze,
w Bugu też mnie znaleźć możesz.
Mieszkam w Brnie i w Białymstoku,
ma mnie ryba, nie ma sokół,
pięknie pachnę w bzu bukiecie.
Czym ja jestem? Czy już wiecie?

Józef Staneta

Zagadka 2

Gdy „a" mamy w środku —
drzew rośnie bez liku,
gdy „i" — wizyty
składamy w kurniku.

Gdy „o" — na loterii
wygrana nań padnie.
Czym jesteśmy, na pewno
każdy zaraz zgadnie.

J. S.

NASZ ZWIERZYNIEC

FOKA

Gdy człowiek płacze, łzy spływają mu po twarzy, gdyż cała ich ilość nie może przepłynąć do nosa specjalnymi, wąskimi kanalikami. Zjawisko płaczu jest właściwe jedynie człowiekowi, u którego wyraża uczucia skrajne — bolesne lub radosne. Zwierzęta nie płaczą. Wyjątkiem jest foka. Nie ma ona tych kanalików łzowych. Skromna ilość łez obmywa oczy i chroni je jako substancja bakteriobójcza. Gdy foka znajdzie się na lądzie i wysuszy swoje futro, możemy zauważyć, jak płacze. Skąpo wydzielane łzy wylewają się z worka spojówkowego i tworzą mokre plamy pod oczami. Gdy doda się jeszcze do tego opuszczone w dół wąsy foki i kąciki warg, wtedy oblicze jej wydaje się nam smutne i cierpiące. Wtedy budzi się w nas współczucie. — Dlaczego płaczesz, biedna foko? Ale pozory mylą! Przecież foka nie ma żadnego powodu do płaczu!

Foka pospolita żyje przy brzegach północnego Atlantyku i Oceanu Spokojnego, na wodach płytkich, w fiordach, przy ujściach rzek, na przybrzeżnych, małych wysepkach. Życie rodzinne — rodzenie małych, wychowywanie, odpoczynek — odbywają się na lądzie, jednak zawsze blisko wody, by w razie niebezpieczeństwa można było doń uciec. Piechur z foki jest marny, pływak doskonały. Żywi się przeważnie dorszami i śledziami, które znajduje w swoich rodzinnych stronach. Lubi też łososie, po które musi się udawać dalej. Najchętniej wyleguje się w słońcu na plaży. Ma sporo krewnych, głównie fok o nazwach groźnie brzmiących, jak: słoń morski, lew morski czy niedźwiedź morski. Ona sama też ma dosyć groźne przezwisko — pies morski.

Franciszek Kobryńczuk

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 120 zł,
półrocznie — 240 zł,
rocznie — 480 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:

— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;

— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1985 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86 × 122 cm, kl. V.

Zam. 1776/86 A-7

Nakład 430 370 egz.

ISSN 0137-8511 INDEKS 36875

Tekst na str. 31

FOKA

Fot. Grażyna Lewińska

CENA 20 ZŁ